



*Kelly Jamison*



*Falszywa wróżka*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Co kryje Twoja przyszłość?*

*Tarot, kryształowa kula, chiromancja.*

*Dyplomowana wróżka wszystko Ci powie.*

*Zadzwoń do Mariette. Numer 555-2144.*

Mari Lamott - nigdy nie używała pełnego imienia, Mariel, by nie być myloną z siostrą bliźniaczką - nie potrzebowała kryształowej kuli, żeby przewidzieć nieszczęścia, które musiało sprowadzić ogłoszenie zamieszczone w lokalnej gazecie przez jej siostrę, Mariette. I stało się. Znowu zadzwieczał dzwonek telefonu.

Jęknęła rozpaczliwie. Dwa dni wcześniej, zaraz po ukazaniu się ogłoszenia, odebrała dwa telefony. Pierwsza zadzwoniła pewna kobieta. Obiecywała wypisać czek na niebagatelną sumkę za przepowiedzenie numerów, które miały paść w najbliższym losowaniu loterii. Mari spytała ją wtedy, czy naprawdę uważa, że gdyby mogła przewidzieć wyniki losowania, dawałaby tamto ogłoszenie?

Następna rozmówczyni koniecznie chciała się dowiedzieć, czy powinna zerwać z chłopakiem, który oświadczył się jej przed tygodniem. Początkowo Mari usiłowała wytłumaczyć, że wcale nie jest wróżką. Że osoba, która zamieściła ogłoszenie, nie mieszka już pod tym adresem. Bez skutku. W końcu, w przypiływie rozpaczy, powiedziała rozmówczyni, że skoro nie jest przekonana, czy chce wyjść za swojego chłopaka, to chyba ślub nie byłby najszcześniejszym rozwiązaniem. Kobieta z wściekłością cisnęła słuchawką.

Mari wbiła w telefon ponure spojrzenie. Lecz nic to nie pomogło. Wciąż dzwonił.

Następnego dnia zatelefonowała kobieta, która chciała dowiedzieć się, co czeka ją w związku z nowym przyjacielem. Z niesmakiem przyjęła stwierdzenie Mari, że gdyby można było przewidzieć wspaniałe romansy, natychmiast straciłby

on cały urok i czar.

Telefon dzwonił nieubłaganie. W końcu Mari poddała się.

- Czy dodzwoniłam się do wróżki? - usłyszała.

- Tak. To znaczy, nie. Owszem, ten numer podano w ogłoszeniu, ale wróżki tu nie ma.

- Ależ, moja droga, nie bądź taka skromna. - Słyszając miły, ciepły głos Mari wyobraziła sobie uśmiechniętą staruszkę. - Nie zamieszczałyś przecież ogłoszenia, gdybyś nie spodziewała się, że ktoś zadzwoni.

- O! Tak! - wymamrotała Mari.

Z goryczą pomyślała o wszystkich pomysłach siostry na zarabianie pieniędzy. Praca w charakterze wróżki była ostatnim z wielu nieustannie burzących spokój Mari. I drastycznie uszczuplających jej konto w banku.

- Wróżka z poczuciem humoru. To mi się podoba. Zastanawiałam się, moja droga, czy mogłabyś przyjechać do mnie na mały seans?

- Obawiam się, że nie jestem w tym zbyt dobra.

Cały galimatias powstał zaś dlatego, że tuż przed ukazaniem się ogłoszenia w gazecie Mariette spotkała motocyklistę. Kolejnego z wielu ubranych w skórę, zakolczykowanych, niepracujących narzeczonych. I wyruszyła, by wraz z nim poznać świat z perspektywy siodełka jego harleya. Ów motocyklista nazywał się Harmon. Chyba tak... Mari miała równie małe doświadczenie z mężczyznami, jak i z motocyklami. Nigdy nie była pewna, co jest imieniem chłopaka siostry, a co nazwą marki pojazdu.

- Czy mogłabyś odwiedzić mnie dziś po południu? - ciągnęła nieznajoma. - Wiem, że to bardzo krótki termin, ale naprawdę potrzebuję rady. Martwię się o moje wnuki.

- Doprawdy, pani... - zaczęła Mari.

- Keegan. Rose Keegan. Nie chciałabym sprawiać kłopotu, ale to... - Westchnęła ciężko. - Przepraszam. Zachowuję się jak stara, opuszczona kobieta. Cho-

ciaż sama tego nie cierpię.

- Ależ nie, nie! - wykrzyknęła Mari pośpiesznie. - Sądzę, że... mogłabym przyjechać do pani.

Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, jak powinna zabrać się do wróżenia. Nie była wróżką. Nie miała o tym zielonego pojęcia. Ale nie chciała zranić tej, niewątpliwie samotnej, starej kobiety. Raz w tygodniu spędzała wieczór w domu starców, grając pensjonariuszom na fortepianie. Napatrzyła się tam na ludzką samotność w jej najgorszej postaci.

- Och! To wspaniale! - wykrzyknęła Rose Keegan. - Upiekę ciasteczka z czekoladą.

Mari, choć pełna obaw, uśmiechnęła się. Kalorie spożyte podczas spełniania dobrego uczynku nie liczą się, pomyślała.

- To brzmi cudownie - powiedziała.

Godzinę później Mari zatrzymała samochód przed domem Rose Keegan. Pojechała tam z postanowieniem wyjawienia staruszce, że nie jest wróżką. Nie wiadomo jednak, czemu miała na sobie powłóczystą, długą spódnicę w kwiaty, przepasaną kolorową szarfą. Do tego białą bluzeczkę z dużym kołnierzykiem i wielkie złote koła w uszach. I choć nie mogła zmienić ani brązowych oczu, ani kasztanowych włosów, to i tak czuła, że wygląda niezwykle tajemniczo.

Naprawdę była zdecydowana wyjawić Rose Keegan całą prawdę...

Ale nie od razu. Chciała choć przez chwilę być kimś innym, zapomnieć o nieciekawej Mari Lamott, która zawsze chodziła w solidnych butach. Zapraagnęła zakosztować ekscytującego życia, jakie wiodła jej siostra.

Urodziła się w Pigeon Nook, małym, prowincjonalnym miasteczku w stanie Indiana. Przeżyła w nim trzydzieści lat. Całe życie. I oto nadarzyła się sposobność, by choć przez jeden dzień mogła zaznać czegoś całkiem innego.

Gdy Rose Keegan otworzyła drzwi małego, białego domku, Mari poczuła zapach kwiatowej wody kolońskiej i pieczonych ciasteczek. Ogarnął ją smutek.

Przypomniała sobie babcię, która mieszkała daleko stąd, na Florydzie. Pomyślała, że dla kogoś takiego jak jej babcia czy pani Keegan spotkania z wróżką mogą być niebezpieczne. Nieuczciwe osoby często próbują wykorzystywać stare, samotne kobiety.

- Proszę, proszę. - Rose gestem zaprosiła ją do środka - Cóż za urocza osóbka! Usiądź i opowiedz mi o sobie.

- Nie bardzo jest o czym opowiadać - bąknęła Mari, siadając na kanapie.

Panował sierpniowy upał i w niewielkim pokoiku było wprost nie do wytrzymania. Nagle ogarnęła ją senność. Rozejrzała się dookoła. Dzięki jasnożółtym ścianom wnętrze wyglądało wesoło i przytulnie. Dużo tu było ozdóbek, serwetek i fotografii w ramkach.

- Czy w twojej rodzinie są jeszcze inne wróżki, moja droga? - spytała Rose.

- Tak... To znaczy, nie. - Już po raz drugi Mari odpowiedziała w taki sam sposób. - Chciałam powiedzieć, że niektórzy w mojej rodzinie potrafią widzieć przyszłość lepiej niż inni.

Właściwie nie było to kłamstwo. Ileż to już razy Mari mówiła siostrze, że wpakuje się w tarapaty. Lecz Mariette nigdy jej nie słuchała.

- Rozumiem. - Rose miała właśnie zadać kolejne pytanie, gdy zza siatkowych drzwi dobiegł męski głos.

- Nie robisz tu niczego niezgodnego z prawem, mam rację, babciu?

Zaskoczona Mari drgnęła gwałtownie. Przez siatkę w drzwiach dostrzegła niewyraźną sylwetkę. Bez wątplenia był to mężczyzna. Wysoki i dobrze zbudowany.

- Wejdz, proszę, Patricku - zawołała Rose. - Zamierzałam właśnie podać czekoladowe ciasteczka. Czy to jest sprzeczne z prawem?

- Bez wątplenia można o nich powiedzieć, że działają odurzająco - odparł z rozbawieniem w głosie mężczyzna, wchodząc do pokoju.

Przyjrzał się Mari badawczo. I choć wciąż się uśmiechał, dostrzegła nieufność

w jego oczach. A cóż to były za oczy! Oczywiście, jeśli ktoś lubi głęboką zieleń tęczówek pod strzechą jasnych włosów. Mari uwielbiała.

- Pozwól, mój drogi, to jest Mariette - przedstawiła ją Rose. - Mariette, to mój wnuk, Patrick Keegan.

- Miło cię poznać. - Ze ściśniętym gardłem podała mu rękę. - I, proszę... Wszyscy nazywają mnie Mari.

Z miejsca stało się jasne, że przytłoczona badawczym spojrzeniem Patricka na pewno nie zdoła wyjawić Rose, kim jest naprawdę. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko natychmiastowa rejterada.

- Powinnam już pójść. - Uniosła się z kanapy.

- Ale przecież jeszcze nie odbyliśmy seansu - powiedziała Rose zawiedzionym głosem.

- Seansu? - spytał podejrzliwie Patrick.

- Mariette... Mari powróży mi, kochanie - wyjaśniła Rose. - Nie odchódź jeszcze, Mari. Nie spróbowałaś moich ciasteczek.

- Bez względu na wszystko - dorzucił Patrick - zaczekaj na ciasteczka.

Mari nie spodobało się to, co ujrzała w jego spojrzeniu. Wiedziała, że powinna wyjść jak najprędzej, lecz nie była w stanie tego zrobić.

Patrick miał na sobie džinsy i czarną koszulkę. Stał bez ruchu z rękami w kieszeniach.

- Jakiego rodzaju wróżbami zajmujesz się, Mari? - spytał.

Uniosła głowę i zrozumiała, co czuje mysz schwyтана przez kota.

Nerwowo przełknęła ślinę i wzruszyła ramionami.

- Nic szczególnego - bąknęła. Gorączkowo próbowała coś wymyślić. - Tarot. Kryształowa kula.

- Której, zdaje się, nie przyniosłaś.

- Tak naprawdę zamierzałam powróżyć twojej babci z ręki.

- To interesujące - powiedział. - Usiądź, babciu. Nasza mała wróżka powróży



ci z ręki. To może być wspaniałe widowisko.

Mari usłyszała zaczepne nutki w jego głosie. I natychmiast zapragnęła uciec. Chwycić torebkę i rzucić się do wyjścia. Nie zrobiła tego jednak. Polubiła Rose Keegan, mimo że ta kobieta miała wnuka, który tak ją onieśmielał. Widać było, że Patrick uważa Mari za stukniętą idiotkę, której wydaje się, że jest medium.

Poczekaj zatem, niedowiarku! Zaraz ci pokażę! - pomyślała. Wiedziała, jak to zrobić. Dość napatrzyła się na różnych szurniętych facetów w telewizji. Jej siostrze też niczego nie brakowało.

W zamyśleniu wzięła podane przez Rose ciastko.

- Zwykle zaczynam seans, gdy jestem... gdy bardziej wpadam w trans - wyjaśniła. - Ale zrobię, co w mojej mocy.

Zjadła ciastko i usiadła naprzeciw Rose. Patrick zbliżył się o krok.

- Nie za blisko! - powstrzymała go Mari. - Zakłócasz wibracje. - Zamachała niecierpliwie ręką i Patrick cofnął się posłusznie. Nie krył uśmiechu rozbawienia.

Odurzona własną odwagą, Mari sięgnęła po dłoń Rose. Wpatrywała się w nią w skupieniu, próbując przypomnieć sobie wszystko, co mówiła Mariette, gdy na niej ćwiczyła wróżenie z ręki. Niestety. Zbyt była wtedy zajęta tłumaczeniem siostrze, że tą drogą nigdy nie dojdzie do bogactwa, żeby mogła zapamiętać paplaninę Mariette.

- Ma pani wspaniałą linię życia! - odezwała się w końcu. Sunęła palcem po dłoni Rose, zastanawiając się głęboko, która to, u diabła, jest linia życia!? - Spójrzmy, co też nam powie linia rodziny.

- Linia rodziny? - spytał Patrick.

Mari uciszyła go niecierpliwym syknięciem.

- Rozpraszasz mnie - skarciła go ostro. - Tak. Ma pani dzieci. - Cudownie! - pomyślała. Przecież każdy to wie.

Przypomniała sobie o rodzinnych fotografiach stojących na stoliku przed telewizorem. Uniosła dłoń do czoła, jakby koncentrowała myśli. Przez palce zerknęła

na boki. Na jednej z fotografii Rose stała w otoczeniu kilku młodzieńców. Wnu-  
ków? Tego nie mogła być pewna. Jednym z chłopców, ubranych w strój do gry w  
baseball, był Patrick. Inny z szerokim uśmiechem prezentował puchar.

Mari odchrząknęła.

- Kocha pani dzieci. - To wydawało się raczej bezpieczne. - I wnuka. Widzę  
go wśród gromady chłopców. - Udawała, że próbuje skupić się jeszcze mocniej. -  
Chłopców, którzy uwielbiają sport. Nie. Jedną dyscyplinę szczególnie. Zaraz, już  
wiem! Baseball!!! - Patrick parsknął kpiąco, lecz Mari zignorowała go.

Ponownie zerknęła w stronę stolika. Stała tam fotografia potężnie zbudowa-  
nego mężczyzny. Miał na sobie podkoszulek, bawełnianą przepaskę na czole i kol-  
czyk w uchu. Kim mógł być, u licha?! Przecież nie szachistą.

- Pani również, Rose, interesuje się sportem - zaczęła z wahaniem. - A  
zwłaszcza pewnym młodzieńcem, który uprawia szczególną dyscyplinę. Jest ol-  
brzymi i nosi - zrobiła dramatyczną pauzę - kolczyk! - Liczyła na to, że Rose na-  
prowadzi ją na właściwy trop. Lecz gwałtowne kasłanie Patricka zburzyło te na-  
dzieje. Co, do cholery, mogą uprawiać takie grubasy?! Rose ścisnęła dłoń Mari,  
jakby dodawała jej otuchy.

- Coś mi się zdaje, że to nie prowadzi do niczego. - Patrick był wyraźnie zde-  
gustowany.

Sceptycyzm wnuka pani Keegan zdopingował Mari do działania. Otworzyła  
szeroko oczy, uniosła głowę i krzyknęła:

- Zapasy! Ona pasjonuje się wolnoamerykańskimi zapasami.

Po chwili kompletnej ciszy Patrick wybuchnął gromkim śmiechem.

- Zawodowe zapasy! - wykrztusił.

Rose również uśmiechała się szeroko. Poklepała Mari po dłoni.

- Sądzę, moja droga, że masz na myśli mojego wnuka - powiedziała miękko. -  
Kuzyna Patricka, Elroya Keegana, który jest cukiernikiem.

Cukiernik! A ona wzięła go za zapaśnika. Mari uznała, że jak na jeden dzień



ośmieszyła się już wystarczająco. Z całą godnością, na jaką było ją jeszcze stać, wstała. Podziękowała za poczęstunek i ruszyła do drzwi. Patricka Keegana nie zaszczyliła ani jednym spojrzeniem.

- Przecież jeszcze ci nie zapłaciłam! - zawołała za nią Rose.

- Ależ skąd! Nie przyjmę ani grosza - odparła Mari. - Wizyta u pani była prawdziwą przyjemnością.

Rose próbowała protestować, lecz Patrick przerwał jej.

- Jestem pewien, że ciasteczka z nawiązką wynagrodziły Mari jej wróżbiarskie poczynania - oświadczył słodziutkim tonem.

Mari spojrzała nań podejrzliwie. Dostrzegła w jego oczach iskierki rozbawienia. Dumnie uniosła głowę, gestem podpatrzonym u Mariette.

- Żegnam, panie Keegan - rzuciła i wyszła.

Tak była jednak wzburzona postępowaniem Patricka, że wyjeżdżając na ulicę, omal nie rozbiła skrzynki pocztowej Rose. Powiedziała sobie wtedy, że przecież próbowała tylko udawać kogoś innego. I uspokoiła się.

Przez całą drogę do domu wciąż miała przed oczyma postać Patricka. Zauważyła, że jest przystojny, ma niewiele ponad trzydziestkę. I nie nosi obrączki.

Gdyby była jedną z tych dziewczyn z niesamowicie długimi nogami, chętnie by z nim poflirtowała, choć był tak okropnie irytujący. Nie zmieni się jednak szarej myszki w królową. Przez pół godziny była kimś całkiem innym i tylko najadła się strachu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Czyś ty zwariowała?! - zawołał Patrick.

Choć była to sobota, zbyt wiele miał jeszcze do zrobienia, żeby tracić czas na przemawianie do rozumu własnej babci.

- Nie uważam, Patricku, żeby była to najwłaściwsza forma zwracania się do babki.

- Nie życzę sobie, żebyś jeszcze kiedyś dzwoniła do tej... zwariowanej wróżki. Toż to kompletna ignorantka.

- To bardzo miła dziewczyna.

- To najbardziej nieudolna oszustka, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Ona nie jest oszustką - zaproponowała Rose. - Praca w policji uczyniła cię niezwykle cynicznym.

- Babciu, nie jestem cynikiem. Raczej realistą. Aresztowałem więcej oszustów, niż potrafisz sobie wyobrazić. - Ale żaden nie był tak nieudolny jak Mari, pomyślał. Na samo wspomnienie tamtej niedzieli omal nie zadławił się śmiechem.

- Mari nie jest oszustką - powtórzyła Rose. - Mogę iść o zakład.

- Zapamiętaj moje słowa - powiedział Patrick. - Dzwon do niej dalej, a wkrótce usłyszysz starą śpiewkę o grożącym ci straszliwym niebezpieczeństwie, któremu koniecznie trzeba zaradzić... za kilka setek.

- Mari nie jest taka - zaprotestowała gwałtownie Rose.

- Owszem, jest. I dlatego życzę sobie być tutaj, jeżeli jeszcze kiedykolwiek ją zaprosisz.

- Ale, Patricku, to ty ją denerwujesz!

- I bardzo dobrze. Obiecuj, że nie spotkasz się z nią beze mnie.

- Ona przyjdzie dziś wieczorem - Rose westchnęła ciężko.

- Przecież dziś jest sobota! Gramy mecz. - Poza tym obiecał chłopcom z prowadzonej przez siebie przy YMCA\*. drużyny baseballowej, że po meczu zabierze ich na lody.

- A zatem nie będziesz mógł być tutaj, nieprawdaż?

- Będę tu - warknął ponuro. - Nie mógłbym darować sobie, gdybym nie obejrzał kolejnego przedstawienia tej panny wróżki.

Był jeszcze jeden, ukryty powód, który przemilczał. Jednak nie mógł przecież powiedzieć własnej babci, jakie gwałtowne pożądanie odczuwał w obecności Mari.

\* YMCA - Young Men's Christian Association - Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej

Mari spojrzała na leżącą na fotelu obok srebrzystą kulę i skrzywiła się. Idiotyczny pomysł! - pomyślała. Nawet prawdziwe wróżki nie zawsze używają kryształowych kul. Zwłaszcza gdy te kule są nie całkiem kryształowe. Ta, jadąca w jej samochodzie, wyglądała jak pomalowana srebrną farbą kula armatnia. A ważyła chyba tonę. Należała do pani Kurtz, sąsiadki Mari. Była ostatnią kulą do kręgli pana Kurtza. Wdowa zalepiła otwory na palce i ułożyła kulę na środku klombu. W geście rozpaczony Mari wypożyczyła ją na jeden dzień. Spojrzenie pani Kurtz było nad wyraz dziwne. Lecz, jak na Norweżkę przystało, zachowała stoicki spokój i nie zadawała żadnych pytań.

Mari wysiadła z auta przed domem Rose i zamyśliła się.

Obiecała sobie solennie, że tego dnia wyjawia całą prawdę. Nie mogła przecież dłużej udawać, że jest wróżką. Próbowowała zresztą wyjaśnić to, kiedy Rose zatelefonowała do niej. Lecz starsza pani z taką radością oczekiwała odwiedzin, że Mari brakło sił, by jej odmówić. Poza tym Rose wspomniała, że jej wnuk nie bywa u niej zbyt często. Na koniec dodała, że bardzo chciałaby zobaczyć kryształową kulę. I dlatego kula do gry w kręgle pana Kurtza musiała wrócić do łask. Jednego tylko

Mari nie przewidziała. Że kula będzie aż tak potwornie ciężka.

Stękając z wysiłku, wywlokła kulę z auta i ruszyła do wejścia. Tu zaczęły się kłopoty. Jak otworzyć drzwi? Mari bała się, że jeżeli położy kulę na ganku, ta stoczy się po schodach i pomknie dalej, w dół ulicy. Nieporadnie próbowała ramieniem nacisnąć guzik dzwonka. Bez skutku. Na szczęście w tej właśnie chwili drzwi otworzyły się i Rose zaprosiła ją do środka.

- Mój Boże! Ależ to nieporęczne! - wykrzyknęła starsza pani.

- No, cóż... Im kula cięższa, tym więcej informacji pomieści - wysapała Mari.

Ostrożnie ułożyła kulę na kanapie i usiadła.

- W takim razie ta to prawdziwa encyklopedia - zauważyła Rose.

- Wiele czasu spędziłam, wpatrując się w nią. - Nie łągała.

Każdego wieczoru patrzyła na nią przez okno podczas zmywania naczyń.

- No to siadaj tutaj - wykrzyknęła niecierpliwie Rose - i wprawiaj się w trans, czy co tam musisz zrobić. Może zobaczysz przyszłość mojego wnuka Elroya? Ten chłopiec jest najlepszym cukiernikiem w całym stanie, ale wciąż nie znalazł sobie dziewczyny.

Mari rzuciła okiem na fotografię grubasa z kolczykiem w uchu i ugryzła się w język, by nie powiedzieć, że każda dziewczyna umarłaby ze strachu na jego widok.

Z cichą nadzieją, że zdoła jakoś odwrócić uwagę Rose od spraw „pozazmysłowych”, wskazała stojące na stoliku zdjęcia i spytała:

- Ma pani jeszcze jakieś wnuczęta oprócz Patricka i Elroya?

Każde wspomnienie Patricka wprawiało jej serce w dziwne drżenie. Pewnie dlatego, że był wobec niej taki podejrzliwy, tłumaczyła sobie.

- Mój Boże, tak! - Twarz Rose rozjaśniła się. - Jest Reno... To brat Elroya. I jeszcze Sean i Max... bracia Patricka. Ojcem Elroya i Reno jest Stephen. Mój pierworodny. Mój drugi syn jest ojcem Patricka, Seana i Maksa. Jest już wdowcem. - Rose potrząsnęła głową. - Mam samych synów. Moi synowie też mają tylko synów. Duża gromadka. Właśnie dlatego chciałabym zajrzeć w przyszłość, gdyby to było

możliwe. Żeby rozwiać obawy o ich los.

- Często ich pani widuje?

- Dość często. Ale oni nie chcą nic mówić o sobie. Wydaje mi się, że oczekuję czegoś, co pozwoli mi nie martwić się o nich.

Skoro tego właśnie potrzebowała, tym bardziej musiała to dostać.

- Ach! Czuję, że życie ułoży się im doskonale - rzekła Mari. - Miałam wizję ostatniej nocy. Widziałam ich wszystkich razem, zdrowych i szczęśliwych.

- Czasem i ja miewam wizje. Zwłaszcza po kilku piwach - dobiegł zza siatkowych drzwi znajomy głos.

Mari drgnęła jak oparzona, gdy Patrick wszedł do domu. Ze wszystkich sił usiłowała nie patrzeć na niego. Trudno jej było się jednak powstrzymać. Długie, muskularne męskie nogi wabiły kobiece oko równie naturalnie, jak kwiaty wabią pszczoły. Patrick znów ubrany był w dzinsy i bawełnianą koszulkę, tym razem białą. Włosy miał wilgotne, jakby wyszedł wprost spod prysznic.

- Twój baseballowy mecz już się skończył, Patricku? - spytała Rose. - Mari zaraz będzie mi wróżyć.

- Jakież to fascynujące - mruknął Patrick. - Z czego tym razem będą te wróżby? Z herbacianych fusów? Z ogłoszeń gazetowych?

- Muszę już iść - powiedziała chłodno Mari.

Chciała wstać, lecz Patrick natychmiast położył dłoń na jej ramieniu i przytrzymał ją.

- Zostań jeszcze trochę - polecił. - Chciałbym i ja posłuchać twoich wróżb. Ostatecznie twoje przepowiednie z poprzedniego tygodnia były niezwykle odkrywcze. - Mówił powoli, dobitnie, jakby jego słowa niosły jakąś ukrytą wiadomość.

Zimny blask jego oczu zauroczył Mari. Poczula, że nawet gdyby nie wciskał jej w kanapę, i tak nie mogłaby wyjść. Męska dłoń spoczywająca na jej ramieniu zdawała się gorąca jak ogień. Zacisnęła się mocniej i Mari poczuła, że znalazła się

w potrzasku.

Tymczasem Patrick uśmiechnął się z zadowoleniem. Starał się nastraszyć Mari, onieśmielić ją i udało mu się. Chciał dać jej w ten sposób wyraźnie do zrozumienia, żeby swoje oszukańcze praktyki prowadziła gdzie indziej. Nikt nie może nawet próbować szkodzić rodzinie Patricka Keegana.

A poza tym Mari nie powinna była znów wkładać tego ubrania stylizowanego na cygański strój. Tak bardzo było jej w nim do twarzy!

Mari odsunęła się nieco od niego i pochyliła. Gdy w wycięciu bluzki mignęły jej drobne, mlecznobiałe piersi spowite delikatną koronką, Patrick zeszywniał. Cały. Lecz choć miała urocze piersi, krągłe biodra i ciepłe, brązowe oczy, nie zamierzał pozwolić, by wyłudziła pieniądze od jego babci.

- Miałaś, zdaje się, wpatrywać się w swoją magiczną kulę - ponaglił ją.

- Tak, właśnie... Nie jestem pewna, czy potrafię zrobić to w tej chwili - bąknęła.

Patrick dostrzegł jej rozpaczliwe spojrzenie skierowane ku drzwiom. Cofnął się. Nagle przeszła mu chęć, by ją straszyć. Miał ochotę na kolejne widowisko. Popis nieudolnej szarlatanki.

- Nie możesz sprawić nam takiego zawodu - powiedział.

Spojrzała na niego z taką nienawiścią, że omal nie roześmiał się głośno. To przecież ona zaczęła tę farsę.

- Czy będzie pani miała coś przeciw temu, że położę stopy na kanapie? - zwróciła się Mari do Rose.

- Ależ, oczywiście że nie, moja droga.

Usiadła po turecku i zmarszczyła brwi w wielkim skupieniu.

Kiwając lekko głową, wpatrywała się w kulę. W wypolerowanej powierzchni zobaczyła odbicie sylwetki Patricka. Stał tuż za nią i uśmiechał się. Bawił się jej kosztem! A do tego tak absorbował jej zmysły, że w ogóle nie mogła się skupić. Zacisnęła powieki i nabrała powietrza w płuca. Starła się przypomnieć sobie



wszystko, co usłyszała od Rose o jej rodzinie, i dopasować jakoś te informacje do stojących na stoliku fotografii.

- Pani wnuk... Elroy - zaczęła.

- Powiedz mi coś, złotko - przerwał jej Patrick. - Czy wróżbiarstwa uczyłaś się w jakiejś szkole?

- Owszem - syknęła przez zaciśnięte zęby. Odczekała moment i gdy Patrick nie odezwał się więcej, ciągnęła: - Pani wnuk, Elroy... cukiernik...

- Myślałem, że to ustaliliśmy już wcześniej - mruknął Patrick. - Do jakiej szkoły chodziłaś?

- Do Akademii Wróżbiarstwa - warknęła Mari, nie odrywając oczu od srebrzystej kuli. - Jej dewiza brzmiała: „Bardziej polubić normalne życie”. - Taka dewiza naprawdę była wpisana do kroniki jej liceum.

Patrick wydał z siebie dziwne, zduszone dźwięki, lecz nie odezwał się więcej. Mari wróciła do pracy.

- Elroy jest doskonałym... cukiernikiem...

- Czy w akademii dla wróżek organizujecie zjazdy absolwentów, złotko? - Znowu zabrzmiał rozbawiony głos zza jej pleców. - Myślę, że nie musicie rozsyłać zaproszeń, prawda? Wszyscy, po prostu, będą wiedzieć i...

Tego było już za wiele. Mari zerwała się na równe nogi. Wsparała ręce na biodrach i zadarła wysoko głowę, żeby spojrzeć mu prosto w twarz.

- Zdradziłam już zbyt wiele moich sekretów - warknęła. - Mogłabym zostać za to wyrzucona ze stowarzyszenia, wiesz?

- Nie możemy do tego dopuścić! - oświadczył Patrick zdecydowanie.

- A teraz, państwo wybaczą, ale jestem już spóźniona na randkę. Jak w każdą sobotę, usiądziemy przed wyłączonym telewizorem i siłą woli wyświetlimy sobie na ekranie jakiś film. - Włożyła buty i wybiegła z domu.

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem. Jeszcze w samochodzie słyszała głośny, męski śmiech...

W porządku! Sama była sobie winna. Nikt nie kazał jej udawać kogoś, kim nigdy nie jest. Ale Patrick Keegan był najbardziej nieznośnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Mógł sobie być zabójczo uroczy i przystojny, ale jeszcze kilka minut w jego towarzystwie i wepchnęłaby mu kręglarską kulę do gardła. Kula do kręgli!!! Z przerażeniem spostrzegła, że zostawiła ją na kanapie. I co ja teraz powiem pani Kurtz? - pomyślała.

Zanim jednak zdążyła obmyślić jakiś plan, drzwi otworzyły się i z domu wyszedł Patrick, z kulą w dłoni. Ten widok rozwścieczył ją jeszcze bardziej.

- Zostawiłaś, zdaje się, swoje okno do przyszłości. - Położył kulę na fotelu dla pasażera.

- Dziękuję - rzuciła zimno.

Coś zaskowyczało w jej duszy, gdy zauważyła, że położył kulę w taki sposób, że wyraźnie widać było znak firmowy wytwórni.

- Nie ma za co - odparł Patrick. - A przy okazji, jeśli zamierzasz wozić ją ze sobą częściej, powinnaś pomyśleć o kupieniu specjalnej torby kręglarskiej. Inaczej możesz nabawić się przepukliny. Ale przecież na pewno już to sprawdziłaś, patrząc w przyszłość.

Mari zacisnęła zęby i wrzuciła wsteczny bieg.

- Miałaś udany dzień, prawda? - dodał z uśmiechem.

Ruszyła z piskiem opon i po chwili ciszę rozdarł głośny klakson wciśnięty przez jakiegoś rozwścieczonego kierowcę. Ostatecznie jednak udało się jej włączyć do ruchu bez spowodowania wypadku.

Idąc do domu, Patrick uśmiechał się szeroko. Wyglądało na to, że Mari gotowa była rzucić się na niego z pięściami. Była taka czarująca, kiedy próbowała udawać, że czyta przyszłość. Ale prowadziła niebezpieczną grę. Nie chciałby ujrzeć jej w więziennej celi. Postanowił, że uczyni wszystko, by nie zboczyła z drogi uczciwości. Będzie przy niej cały czas, podczas każdego seansu u babci. I kiedy tylko zauważy, że ta dziewczyna robi coś sprzecznego z prawem, ujawni jej, że jest poli-

cjantem. O, tak. Nastraszy ją, aż jej w pięty pójdzie. Żeby raz na zawsze porzuciła nieuczciwe sztuczki.

- Byłeś bardzo nieprzyjemny dla naszego gościa, Patricku - powiedziała Rose w wyrzucie w głosie. - Zapewne nie ujrzymy jej już nigdy więcej.

- Mogę ci zagwarantować, babciu, że jeszcze ją ujrzymy. - Wyjął z kieszeni notes i zapisał numer rejestracyjny samochodu Mari. - Mam zamiar przeprowadzić małe prywatne śledztwo.

- Patricku Keegan, co ci chodzi po głowie? - spytała Rose z gniewem.

- Nie martw się, babciu. - Uśmiechnął się niewinnie.

- Będę bardzo uprzejmy i miły dla naszej wróżki. Nie powiedziałaś jej chyba, że jestem policjantem, prawda?

- Nie. Zaczynam jednak mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiłam.

- Zachowajmy tę niespodziankę na później.

Następnego dnia, około południa, Mari zatargała kulę kręglarską do ogródka pani Kurtz. Wciąż jeszcze kipiała z wściekłości. Gdy układała kulę pośród petunii, nadeszła pani Kurtz z konewką w ręce.

- Mam nadzieję, że była przydatna - powiedziała.

- Tak, bardzo - odparła Mari zwięźle.

Nie czuła się na siłach, by opowiadać o klęsce, jaką poniosła poprzedniego wieczora. Poza tym pani Kurtz i tak nie uwierzyłaby, że Mari mogłaby podawać się za wróżkę. Nie Mari Lamott. Stateczna właścicielka sklepu muzycznego. Niepozorna, lecz godna zaufania przewodnicząca komitetu kościelnego. Mari należała do tego typu kobiet, które segregują odpadki, wypiekają ciasteczka i zawsze zostają, by pomóc posprzątać po zebraniu w kościele. Poza tym w każdą środę wieczorem grała na fortepianie w domu starców. I marzyła, by zdarzyło się w jej życiu coś ekscytującego. Miała wrażenie, że tak właśnie było, kiedy udawała wróżkę. A już na pewno stało się tak, kiedy poznała Patricka Keegana.

Miała za sobą bezsenną noc spędzoną z jego obrazem przed oczyma. Rozwścieczył ją, drwiąc z niej bezlitośnie. Lecz gdyby tak ubrała się bardziej ekstrawagancko, bardziej seksownie...

Nie zamierzała, oczywiście, rzucać się na Patricka Keegana. Ale byłoby miło, gdyby ją zauważył. Jak dotąd nie zainteresował się nią jeszcze żaden mężczyzna. Ani kiedy koncertowała w kościele, ani gdy piekła ciasteczka. Ale wróżka... To jest prawdziwie interesująca kobieta!

A poza tym taka niewinna maskarada na pewno nikomu nie mogła zaszkodzić. Rose Keegan wręcz polubiła jej towarzystwo.

Dom Rose emanował ciepłem i spokojem. Był taki, o jakim Mari marzyła od dawna. Wychowywała ją tylko matka, w dodatku alkoholiczka. Już od najwcześniejszych lat dziewczynka zmuszona była brać odpowiedzialność za dom. Kiedy wprowadziła się do nich babcia, obowiązków tylko przybyło. Mari zawsze zastanawiała się, jak wygląda normalny dom rodzinny.

Pani Kurtz wygłosiła kilka obojętnych uwag o niczym. Wciąż jednak spoglądała ponad ramieniem Mari. Gdy ta odwróciła głowę, zrozumiała, dlaczego.

Z tyłu, wsparty niedbale o drewniany płotek, stał Patrick Keegan.

- Wygląda na to, że masz gościa, kochanie - powiedziała pani Kurtz.

Widać było, że czeka, by Mari przedstawiła jej nieznanego.

- Rzeczywiście - mruknęła Mari.

Skąd on, u licha, znał jej adres?

Podeszła do niego z udawanym brakiem zainteresowania, choć nie mogła przestać zerkać na jego klatkę piersiową. A była to klatka piersiowa wspaniała. Szeroka i muskularna, niemal rozsadzała koszulę. Rzecz jasna, jego nogi też robiły wrażenie. Szczególnie uda, ciasno opięte dżinsami.

- Ależ panno Lamott - powiedział Patrick, wyraźnie rozbawiony - gotów jestem pomyśleć, że chcesz mnie pożreć.

Zaczerwieniła się aż po cebulki włosów. Tak była zakłopotana i zawstydzona, że nie zwróciła nawet uwagi, iż znał nie tylko jej adres, ale i nazwisko.

Patrick w milczeniu delektował się jej widokiem. Była zgrabna i delikatna. Wyglądała tak młodzieńczo i niewinnie. Co, jak przypuszczał, skrywało jej prawdziwie diabelski charakter.

Korzystając z policyjnego komputera i numeru rejestracyjnego jej samochodu, dowiedział się, że nazywa się Mariel Lamott, ma trzydzieści lat i mieszka nad sklepem muzycznym. Odkrycie, że ma na imię Mariel, a nie Mariette, jak podała w ogłoszeniu, utwierdziło go tylko w przekonaniu, że słusznie ją podejrzewał. W ten sposób, nawet o tym nie wiedząc, została pierwszą uczennicą „Szkoły Resocjalizacji Patricka Keegana”. Przywołał na twarz najbardziej niewinny uśmiech.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? - spytała.

- Zadzwoń na policję - odparł i ruszył wolno w stronę domu. - Podałem im numer rejestracyjny twojego samochodu i powiedziałem, że stuknąłem w niego na parkingu. Niestety, nie miałem przy sobie żadnej karteczki, żeby zostawić ci wiadomość.

- I podali ci moje nazwisko i adres? - spytała Mari z niedowierzaniem.

- Przez telefon jestem bardzo przekonujący.

- Ale przecież to nieuczciwe.

- Doprawdy? - Uśmiechał się czarująco. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

Nie zaprosisz mnie do środka?

- Raczej nie - odparła z wahaniem. - Szczerze mówiąc, Patricku, nie jestem pewna, czy mogę ci ufać.

- Naprawdę? - Nie krył zawodu. - Może twoja sąsiadka mogłaby za mnie poręczyć?

- Pani Kurtz? Znasz ją?

- Jeszcze nie. Ale mogę się jej przedstawić.

Nie zwlekając, podbiegł do płotka i zawołał panią Kurtz.

- Nazywam się Patrick Keegan - powiedział. - Jestem wnukiem Rose Keegan ze Spring Street. Bardzo chciałbym obejrzeć mieszkanie panny Lamott, ale ktoś musi za mnie poręczyć. Czy pani mogłaby to uczynić?

Twarz pani Kurtz aż pojaśniała. Po raz pierwszy Mari widziała ją uśmiechniętą. Patrick wyjął portfel i pokazał swoje prawo jazdy.

Już po chwili ustalili, że jego babcia mieszka o dwie przecznice od starszej siostry pani, Kurtz, Leah. Okazało się także, że ojciec Patricka pomógł jej kiedyś zamontować antenę do telewizora. Lecz największą wdzięczność pani Kurtz zaskarbił sobie Patrick tym, co zrobił dla wnuka Leah. Co to było? Tego, niestety, Mari nie usłyszała. Albowiem w tym właśnie momencie Patrick odciągnął panią Kurtz o kilka kroków dalej.

Skończyło się tym, że pani Kurtz gotowa była bez wahania poręczyć za Patricka. Odprowadziła go aż do tylnych drzwi sklepu muzycznego.

- To twój sklep? - spytał Patrick, zdumiony, gdy podążał za Mari wśród półek pełnych gitar i nut.

- Nawet wróżka musi jakoś zarabiać na życie - odparła zimno.

- Umiesz grać na jakimś instrumencie? - spytał.

Po raz pierwszy jego uśmiech był ciepły i przyjazny.

- Na fortepianie i skrzypcach - odrzekła Mari, prowadząc go na piętro. To, co powiedziała, zabrzmiało jej zdaniem tak pospolicie, że dodała szybko: - I uczyłam się grać na cytrze. - To brzmiało o wiele lepiej. Jak na wróżkę przystało.

W rzeczywistości Mari widziała cytry tylko kilka razy w życiu, na festiwalach muzyki ludowej. Nigdy też nie zrobiły na niej wrażenia. Naprawdę przepadała za malutkim fletem irlandzkim. Gdy chciała sprawić sobie odrobinę przyjemności, wyjmowała go po prostu z torebki. Lecz przecież do tego na pewno nie mogła się przyznać.

- Na cytrze, powiadasz? - Patrick zatrzymał się na szczycie schodów i rozejrzał po mieszkaniu.



- Musiałam oddać ją do naprawy - wyjaśniła Mari, na wypadek, gdyby Patrick chciał namówić ją na mały koncert. - Pozrywane struny.

- Rozumiem. - Podszedł do lodówki.

Z zainteresowaniem przyglądał się przyczepionym do niej magnesami pamiątkowym plakietkom z wielu stron USA. I po jednej z Australii i Kanady.

- Wygląda na to, że lubisz podróżować - zauważył.

- Kiedy czasem ogarnie mnie ochota, ruszam w świat bez namysłu - odparła.

Za plecami skrzyżowała palce, jak czyniła, będąc dzieckiem. Pierwsza z magnetycznych plakietek była pamiątką z kościelnej wycieczki do parku narodowego. Nie wiadomo dlaczego wszyscy nagle uznali, iż zbieranie takich drobiazgów jest jej wielką pasją. Od tamtej pory znajomi oraz ich krewni i sąsiedzi zwozili jej plakietki z wycieczek i podróży.

Patrick zastanawiał się w milczeniu, ile małych oszustw popełniła podczas tak wielu podróży. Jeśli były one równie nieudolne jak seanse wróżbiarskie u babci, to większość czasu musiała spędzać za kratkami. Zasmucił się. Jeszcze bardziej zapragnął sprowadzić ją na dobrą drogę.

Mieszkanie Mari było schludne i przestronne. Ściany pomalowano na biało, podłogę wykonano z jasnych desek. Wprost z klatki schodowej wchodziło się do kuchni połączonej z salonem. W głębi, za zamkniętymi drzwiami, była prawdopodobnie sypialnia i łazienka. W wielu miejscach leżały haftowane poduszki i Patrick przypomniał sobie pewną złodziejkę, którą aresztował przed laty. Tamta wyszywała przez cały czas pobytu w więzieniu. Przyszła mu do głowy cyniczna myśl, że Mari haftowała swoje poduszki w podobnych okolicznościach.

- Napijesz się czegoś? - spytała niepewnym tonem.

- Owszem, chętnie - odparł.

Zadźwięczały szklanki stawiane na stole. W tym momencie Patrick usłyszał miauczenie u swych stóp. Obszedł burego kota dokoła i usiadł.

- Przykro mi, Rex - powiedziała Mari, gdy zwierzę wskoczyło jej na kolana. -

Dziś nie będzie łośosia.

Patrick w zadumie wpatrywał się w stojącą przed nim szklanę napelnioną ciemnoczerwoną cieczą. Skosztował ostrożnie.

- Co to jest?! - spytał. - To wino chyba zupełnie zwietrzało.

Mari wybuchnęła śmiechem.

- To nie jest wino - odparła. - To wiśniowy nektar wzmacniający.

Gapił się na nią, zdumiony. Wiele, naprawdę wiele razy kobiety częstowały go napojami. Ale ani jedna nie podała mu nektaru wzmacniającego. Piwo, wino, mrożoną herbatę, nawet wodę mineralną, ale nigdy nektar!

- Pijasz to na co dzień? - spytał zaciekawiony.

Skinęła głową.

- Kiedyś trzymałam w lodówce piwo... ot tak, dla gości... Ale nigdy go nie próbowałam.

- I nigdy nie miałaś ochoty na coś mocniejszego niż to? - wskazał szklanę.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Zdarzyło się kiedyś, że popełniłam błąd i wypiałam za dużo sherry. - Westchnęła i zarumieniła się. - Wypaplałam wtedy wszystkie rodzinne sekrety. To było okropnie żenujące.

Oho! Alkohol rozwiązuje jej język, pomyślał Patrick. Dobrze wiedzieć!

- Powiedziałeś, że chciałeś ze mną porozmawiać - przypomniała Mari.

Zagryzła wargę. Była niemal pewna, że usłyszy druzgocącą krytykę jej wróżbiarstwa. Wtedy będzie musiała wyznać mu całą prawdę. I skończy się podniecające, podwójne życie.

- Moja babcia bardzo cię lubi - zaczął Patrick powoli. - Ma dwóch synów, a każdy z nich też ma tylko synów. W naszej rodzinie raczej brakuje kobiet.

- Rose jest bardzo urocza - bąknęła. Była pewna, że Patrick zamierzał zabronić jej wizyt u jego babci. - Przypomina mi moją babcię.

Patrick znów zastygł w milczeniu. Mari poczuła niepokój.

- Dzisiaj są urodziny babci - odezwał się po chwili. - Szykujemy u niej w domu uroczystą kolację. Babcia zażyczyła sobie, żebym zaprosił i ciebie.

Mari zacisnęła wargi i spuściła oczy.

- Lecz ty wolałbyś, żebym odmówiła. Czuję to. Chciałbyś, żebym grzecznie, ale stanowczo odrzuciła wszystkie kolejne zaproszenia twojej babci, prawda?

Patrick westchnął ciężko.

- To nie tak - mruknął.

Trudno mu było zebrać myśli, gdy Mari zaciskała usta. Te śliczne wargi, które zagryzała tak nerwowo, a które aż prosiły się o pocałunek.

- A więc... o co chodzi?

- Jesteś dobra dla babci - przyznał cicho. - Ona cierpi na artretyzm i często dokucza jej ból. Wydaje mi się jednak, że twoje wizyty dawały jej wiele radości. Mogła na chwilę zapomnieć o swoich kłopotach.

- Czy to ma znaczyć, że chcesz, abym ją odwiedzała? - spytała z niedowierzaniem.

- Sądzę, że to może być korzystne dla was obu.

Mari znów zgryzła wargę. A on znów zapragnął ją pocałować.

- W jakim sensie korzystne?

- Babcia cię lubi. Z powodu artretyzmu rzadko wychodzi z domu i jej dni są podobne jeden do drugiego. Nudne. Nagle zjawiałaś się ty i wprowadziłaś w jej życie wiele ożywienia. Ma wreszcie dla kogo piec ciasteczka albo ugotować coś specjalnego. Jestem pewien, że ty, wciąż zajęta przepowiadaniem przyszłości, nie masz czasu na gotowanie.

Mari zaczerwieniła się po same uszy. Czego czujne oko Patricka, oczywiście, nie przeoczyło.

- Nie zamierzam wykorzystywać twojej babci - oświadczyła.

Założę się, że właśnie to zamierzasz! - pomyślał gniewnie.

- Twoje wizyty sprawiają jej wielką przyjemność - powtórzył. - Odwiedzaj ją,

jeżeli, oczywiście, znajdziesz dla niej trochę czasu.

Mari znów poczuła wyrzuty sumienia. Czas nie stanowił przecież żadnego problemu. Wizyty u Rose i dla niej samej były źródłem radości. Nie mogła jednak wciąż udawać przed rodziną Patricka kogoś, kim nigdy nie była.

- Odwiedzę twoją babcię z największą przyjemnością - powiedziała.

Pomyślała, że chyba nie skrzywdzi nikogo, jeżeli poudaje wróżkę jeszcze przez jakiś czas.

- Przyjdiesz zatem dzisiaj na kolację?

- Skoro uważasz, że powinnam...

- Jestem tego pewien - odparł, uśmiechając się tajemniczo.

Niemal usłyszał dźwięk zatraskującej się pułapki, którą zastawił. Ta mała nie miała pojęcia, co jej szykował. Dostanie nauczkę za to, że odważyła się spróbować szachrajskich sztuczek z rodziną detektywa sierżanta Patricka Keegana.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Mari siedziała przy stole pomiędzy wnukami pani Rose, jadła kruche ciasteczka i czuła spadające za dekolt okruszki. W staniczku miała ich już tyle, że mogłaby karmić gołębie. Zaczynało to być irytujące.

A wszystko przez jej sukienkę. Tak naprawdę była to sukienka Mariette. Gdy Patrick zaprosił ją na kolację do swojej babci, uznała, że nim wyruszą, koniecznie musi się przebrać. Chciała wyglądać porywająco. W wielkim pośpiechu włożyła więc sukienkę siostry i wybiegła z sypialni. Nie zdążyła nawet spojrzeć w lustro. Może wtedy zmieniłaby zdanie, bowiem nie czuła się najlepiej w sukience aż tak bardzo odsłaniającej ramiona i dekolt.

- Zjesz jeszcze ciasteczko? - usłyszała.

Uniosła głowę i napotkała wzrok Patricka. W kącikach warg błąkał się mu podejrzany uśmieszek. Znow bawił się jej kosztem.

- Nie, dziękuję - odparła.

Serwetką usiłowała dyskretnie usunąć z dekoltu przynajmniej część okruszków.

- A może skosztujesz trochę kurczęcia z kluseczkami, moja droga? - zawołała Rose z końca stołu.

- Jest wspaniale - odrzekła Mari - ale czuję, że zaraz pęknę.

Siedzący po jej lewej ręce Elroy Keegan sięgnął po półmisek.

- Taka chudzina powinna jeść więcej mięsa - powiedział, nakładając jej na talerz kolejną porcję kurczaka.

- Ależ, doprawdy, ja...

- Dołożę ci również groszku - zaproponował Reno siedzący z jej prawej strony - i jabłkowej konfitury. Musisz zjeść porcję swoją i Patricka. Odkąd skończył cztery lata, do ust nie bierze jabłkowej konfitury. Zjadł wtedy cały słoik i strasznie potem chorował.

- Zostaw trochę miejsca na moje ptysie - dodał Elroy.

Mari z nadzieją popatrzyła na Patricka.

On jednak uśmiechnął się tylko z ironią.

- Mówiłem ci już, babciu, jak wspaniale gotujesz? - odezwał się Max. - Te ciasteczka smakują bosko.

- To nie moje dzieło. Upiekła je Mari - przyznała Rose.

Zewsząd rozległy się okrzyki zachwytu.

Mari oblała się gorącym rumieńcem. Znowu uniosła ostrożnie głowę i napotkała wzrok Patricka. Wpatrywał się w nią w milczeniu, aż zrobiło się jej nieswojo. Zaraz po przyjeździe skorzystała z okazji i uciekła do kuchni, by pomagać Rose. Nawet nie dlatego, że próbowała unikać jej niesfornych i hałaśliwych wnuków. Miała jednak dziwne wrażenie, że Patrick coś przed nią ukrywa. Wiele razy czuła na sobie jego wnikliwe spojrzenie.

- Pomogę pozmywać - powiedziała po skończonym posiłku.

Szukała wymówki, by znów zrejtować do kuchni.

Patrick uśmiechnął się. Bez trudu zauważył, jak skrepowana była zarówno głośnymi pochwałami, jak i okruszkami za dekoltem. Jego bracia polubili ją od razu. Może nawet bardziej niż babcia. Na szczęście zdążył jeszcze przed kolacją powiedzieć im, że Mari nie wie, iż jest on policjantem. I wymóc obietnicę, że bracia zachowają to w tajemnicy. Nie bardzo rozumieli jego intencje, lecz ostatecznie się zgodzili.

Czemuż wszyscy tak do niej lgną? - pomyślał z gniewem. Cóż z tego, że tak uroczo zagryza wargi. Albo że tak ponętnie wygląda w tej zwiewnej sukience. I czemu, u diabła, ciągle o niej myślę?!

Podniósł się i ruszył do kuchni z talerzem w dłoni. Wtem poczuł na ramieniu rękę Rose.

- Nie bądź wciąż taki ponury, Patricku - poprosiła. - Już i tak dość nastraszyłeś Mari.



- To dobrze - burknął.

Nachmurzył się jeszcze bardziej. Wszedł do kuchni. Mari, pochylona nisko nad koszem na śmieci, usiłowała pozbyć się okruchów. Dopiero gdy zakaszał cicho, spostrzegła jego wejście i drgnęła jak oparzona.

- Wystraszyłeś mnie - zawołała.

I znowu zarumieniła się ślicznie.

- Te ciasteczka, choć takie kruche, wprost rozpływały się w ustach - powiedział.

Oczy zalsniły mu wesoło.

Mari otworzyła już usta, by wyjaśnić mu, co robiła, ale nie powiedziała ani słowa. Przecież Patrick, prawiąc jej komplementy, drwił z niej jednocześnie. Kiedy postąpił o krok w jej kierunku, cofnęła się. Rychło jednak przypomniała sobie, że przecież miała być zupełnie inną Mari Lamott. Kobieta śmiała, światową i tajemniczą. Nie mogła więc okazywać lęku nawet przed kimś tak podniecającym, jak Patrick Keegan.

- Cieszę się, że ci smakowały - wydusiła w końcu, gdy stanął tuż przed nią. - Pozbieram resztę talerzy i pozmywam je.

Patrick zastąpił jej drogę. Nie zamierzał pozwolić uciec.

- Widzę, że jesteś niezwykle utalentowaną kobietą - powiedział.

- Doprawdy? To znaczy... tak... myślę, że jestem. - Mari gorączkowo usiłowała zrozumieć, do czego zmierzał.

- Masz na nosku trochę jabłkowej konfitury. - Wyciągnął ku niej rękę.

Nerwowo zacisnęła powieki.

Patrick uśmiechnął się. Wiedział, że Mari zastanawia się gorączkowo, co będzie dalej. Jeszcze nie mógł wyjawić swego planu. Skorzystał za to z okazji, by zajrzeć w głąb jej dekoltu. Ujrzał mlecznobiałe piersi, posypane gdzieśgdzie okruszkami, i twarz mu się rozjaśniła.

- Może powinnam pójść po ręcznik? - spytała.

Wtedy Patrick zorientował się, że chyba wycierał jej nos trochę zbyt długo.

Chrząknął, przybrał poważny wyraz twarzy i powiedział:

- Chyba już w porządku. Chodźmy do stołu. Zjemy deser.

Kiedy weszli do jadalni, Patrick zaczął dyrygować zebranymi. Seanowi kazał sprzątnąć talerze ze stołu, a Elroyowi przygotować kawę.

- A zanim siądziemy do deseru - oznajmił, nie zwalniając uścisku ramienia Mari - rozerwiemy się trochę, słuchając przepowiedni naszej wróżki. Może mogłabyś rozłożyć tarota? - dodał i uśmiechnął się do niej dobrotliwie.

Wstrętny szczur! - pomyślała Mari.

- Co za pech! - westchnęła i zmusiła się do uśmiechu. - Nie zabrałam dzisiaj kart ze sobą. A szkoda, bo tarot to moja specjalność.

- To rzeczywiście pech. - Twarz Patricka wyrażała wielki żal. Nagle uśmiechnął się. - Ale może uda się nam jakoś temu zaradzić. Babciu, nie masz przypadkiem talii kart do tarota?

Rose zmarszczyła czoło.

- No cóż, niewykluczone. Tylko gdzie też one mogłyby być? Zapewne w którejś szufladzie.

- Chyba widziałem je niedawno - powiedział Patrick i wyszedł. - Gdzieś tutaj. - Przez chwilę udawał, że szuka tu i tam. - No i proszę! - zawołał radośnie. - Mam dziś szczęśliwy dzień.

- Na pewno - burknęła Mari pod nosem.

- Dalej, usiądźcie sobie wygodnie! - pokrzykiwał Patrick. Wcisnął Mari w rękę talię kart i poprowadził ją do kanapy. - Chodźcie tu wszyscy.

Usiadła. Zastanawiała się rozpaczliwie, co ma robić dalej. Jej wiedza na temat tarota nie była większa niż na temat wróżenia z ręki, czyli prawie żadna. Tymczasem wszyscy bracia i kuzyni Patricka zbiegli się do salonu. Usadzili się wygodnie na kanapie i fotelach wokół stolika do kawy i czekali. Rose usiadła w fotelu obok Mari i zachęcająco poklepała ją po dłoni.

Mari w pełni doceniała takie wsparcie, lecz niewiele to zmieniało. Wyjęła karty z pudełka i przyglądała się im w zadumie. Nie mogła przypomnieć sobie niczego z czasów, kiedy Mariette wykorzystywała ją do nauki stawiania kabały.

Miłość? Nieszczęście? Intryga? O co tu chodzi? - pomyślała.

Patrick stał tuż za nią z rękami w kieszeniach. I przeszkadzał jej samą swoją obecnością. Rozpraszał ją.

- Może chcesz zaśpiewać hymn Akademii Wróżbiarstwa? - odezwał się po chwili.

- Nie. Już jestem gotowa - rzuciła Mari hardo.

Nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. I bez tego wiedziała, że ten drań się uśmiecha.

Raz kozie śmierć! - pomyślała. Potasowała karty i zaczęła układać je na stole, koszulkami do góry.

- Wygląda to tak, jakbyś stawiała pasjansa - zauważył Patrick.

- Cicho! Próbuję się skoncentrować - skarciła go.

- Zawsze myślałem, że to osoba, której się wróży, powinna tasować karty - znowu wtrącił się Patrick.

Miał rację? Mari wcale nie była tego pewna. Przestraszyła się, że Patrick wie na ten temat więcej, niż mogła przypuszczać.

- Ponieważ nikt nie zgłosił się po radę, zamierzałam poprosić karty o wróżbę ogólną - odparła z udawaną pewnością siebie.

- To może ja mógłbym zgłosić się po radę? - spytał Patrick.

- Świetnie - warknęła przez zaciśnięte zęby i podała mu karty.

Patrick zebrał ze stołu resztę kartoników, włączył je do talii i potasował.

- Usaduję się tylko wygodniej - powiedział.

Przysunął sobie puf i usiadł, uśmiechnięty.

- No dobrze, jaki więc masz problem? - spytała Mari.

- Tyle ich... - rzucił z udawaną rozpaczą. - Skupmy się może na sprawach

sercowych i na stanie mojego konta bankowego.

Wszyscy mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem. Mari zagryzła wargi. Taki z ciebie żartowniś?! - pomyślała. No, to doigrałeś się.

- Przyjrzyjmy się zatem obu tym sprzecznościom. - Wyłożyła cztery zakryte karty. - Zaczniemy od spraw finansowych.

Odkryła pierwszą kartę. Ujrzała grupkę chłopców walczących gałązkami ob-  
sypanymi młodymi listkami. Cóż to, u diabła, mogło oznaczać?!

- Hm - mruknęła w zadumie.

- Mam nadzieję, że nie posiadam jakichś czeków bez pokrycia - mruknął Pa-  
trick.

Skupiona Mari nie zareagowała na zaczepkę. Przypomniała sobie, że pani  
Kurtz dziękowała Patrickowi za pomoc okazaną wnukowi jej siostry. Wyglądało na  
to, że pod maską opryskliwości kryje się osobnik wrażliwy i skory do pomocy in-  
nym. Z wyjątkiem jej samej, rzecz jasna.

- Jesteś bardzo szczodry - zaczęła. - Zarówno gdy chodzi o pieniądze, jak i o  
twój czas. Czasami ludzie cię wykorzystują.

- Hej, Patrick! - krzyknął Max. - Pożycz dwudziestaka.

Pozostali zachichotali. Lecz z miny Patricka Mari wywnioskowała, że się  
zbyt nie pomyliła.

- Jeszcze jakieś wstrząsające odkrycie? - spytał.

- Nie teraz - odparła z nutką tryumfu w głosie. - Spójrzmy w twoją finansową  
przyszłość. - Odkryła następną kartę. Była tam siedząca postać w czerwonym  
płaszczu, w koronie, z mieczem w dłoni. Pod nią podpis: Sprawiedliwość.

Elroy chciał wtrącić jakąś uwagę, lecz Patrick uciszył go groźnym spojrze-  
niem.

- Możesz się spodziewać, że dostaniesz, na co zasłużyłeś - oznajmiła uroczy-  
ście.

- A co to ma oznaczać? - spytał Patrick.

Z trudem ukrywał rozbawienie.

Jeżeli ktoś mógł oczekiwać zapłaty za „zasługi”, to raczej Mari Lamott.

- Dokładnie to, co powiedziałam - zbyła go. - Możemy teraz zająć się obecnym stanem twoich spraw sercowych.

- Ależ tak! Oczywiście.

Mari odwróciła trzecią kartę i omal nie parsknęła śmiechem. Obrazek przedstawiał starca z kosturem i latarnią. Podpis: Eremita.

- Myślę, że to mówi samo za siebie. - Wysoko uniosła kartę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nawet Patrick uśmiechnął się lekko.

- Cóż ja mogę powiedzieć - odparł na zaczepki Maksa i Seana. - To wróżka zna wszystkie odpowiedzi.

- Wygląda na to, że przyszłość niesie poprawę. - Mari odsłoniła ostatnią kartę. Widniały na niej nagie postaci mężczyzny i kobiety. I podpis: Kochankowie.

- Czy to aby pewne? - spytał Patrick, patrząc jej głęboko w oczy.

- Nic nie jest pewne - odparła i odwróciła wzrok.

Pod wpływem jego spojrzenia traciła jasność myśli.

- Może powinienem przedstawić cię kilku dziewczynom z restauracji? - spytał Elroy. Skulił się pod piorunującym spojrzeniem Patricka. Pozostali bracia również nie szczędzili mu żartobliwych propozycji.

- Słuchajcie no, błazny - zawołał. - Nie jestem zainteresowany żadną z tych drapieżnych panienek, które chcecie mi wcisnąć. A tak w ogóle, to może poprosilibyście o wróżbę dla was?

Rose poparła go skwapliwie.

- Już sama nie wiem, co z wami jest, chłopcy? Tacy przystojni, a żaden jeszcze nie jest żonaty. Zupełnie jakbyście mieli alergię na kobiety.

- Nie na kobiety - wyjaśnił Max - tylko na obrączki.

- Jednakowoż - odezwał się Elroy - sądzę, że mógłbym chyba zainteresować się kimś takim jak Mari. - Posłał Patrickowi na pół żartobliwy uśmiezek. Mari za-

rumieniła się. - Oczywiście, pod warunkiem, że ty nie zająłeś już tych terytoriów.

W oczekiwaniu na odpowiedź, Mari wstrzymała oddech. Dlaczego Patrick zjawiał się zawsze wtedy, gdy odwiedzała jego babcię? Czemu tak nalegał, by przyjechała na tę kolację? Mówił, że to ze względu na Rose. A może nie? - pomyślała z nadzieją.

Mrzonki prysły bardzo szybko.

- Mari jest przyjaciółką babci - wyjaśnił Patrick. - Niech nikt nie próbuje mieszać się do tego. Żadnych randek. - Potoczył dookoła groźnym spojrzeniem.

Zaś Mari, choć nie miała prawa oczekiwać czegoś innego, poczuła ból rozczarowania. Do tej pory tylko jeden mężczyzna okazał jej zainteresowanie. Był nim pan Harding, nauczyciel muzyki. A i to, jak podejrzewała, z powodu jego fetyszystycznych upodobań do kolan. Przed dwoma laty zaszedł do jej sklepu. Ujrzał ją w szortach i natychmiast umówił się z nią na spotkanie. Przed każdą następną randką nalegał, by włożyła właśnie szorty. Kiedy sprawy potoczyły się tak, że znaleźli się w sypialni, długo, bardzo długo pieścił i całował jej rzepki kolanowe. Ich jedyny kontakt seksualny okazał się całkowitą katastrofą. Trwał niecałe pół minuty i utwierdził Mari w przekonaniu, że wszystkie opinie na temat seksu są grubo przesadzone.

- Ja chyba też mam tu coś do powiedzenia - warknęła.

- Nie. Nie masz - odparł Patrick niecierpliwie. - Jeśli którykolwiek z tych facetów będzie chciał umówić się z tobą, najpierw będzie miał do czynienia ze mną. - Nim Mari zdążyła zaprotestować, zerwał się na równe nogi i wydobył z kieszeni piszczący niecierpliwie pager. - Chodź, muszę odwieźć cię do domu.

- Nie zjadła jeszcze deseru - zaprotestował Elroy.

- Zapakuj jej ciasto do torby - polecił Patrick. - Muszę jechać do pracy.

- Pracujesz w niedziele? - Mari nie kryła zaskoczenia. - Sądziłam, że prowadzisz drużynę baseballową.

Zewsząd rozległo się gwałtowne pokastywanie.

- Prowadzę - mruknął Patrick. - Właśnie gramy mecz. Chodźmy!

Pięć minut później Mari siedziała w samochodzie Patricka z olbrzymią papierową torbą pełną ptysiów na kolanach. Nigdy nie wyprawiano jej za drzwi tak szybko od czasu, gdy w wieku pięciu lat miała bardzo bliskie spotkanie ze skunksem.

- Prowadzisz drużynę w liceum? - rzuciła obojętnym tonem.

- Bo co? - spytał Patrick podejrzliwie. - Znasz któregoś z tamtejszych nauczycieli?

Zaniemówiła, zaskoczona.

- Tylko nauczyciela muzyki - odparła w końcu.

- Pracuję w YMCA.

- O! To brzmi interesująco. Co jeszcze robisz, oprócz prowadzenia drużyny?

- Jestem ochroniarzem i prowadzę zajęcia sportowo-rekreacyjne - zełgał.

Z wdzięcznością pomyślał o pracy w policji, dzięki której tak świetnie opanował sztukę kłamania.

Umilkli. Mari czekała, by powiedział o sobie coś więcej. On nie miał zamiaru. Dopiero gdy skręcił w jakąś ulicę, zawołała:

- To nie jest droga do mojego domu!

- Wiem. Muszę wpaść do swojego, żeby zabrać... dres.

- Rozumiem.

Zatrzymali się przed niewielkim blokiem. Na schodach siedziała hoża blondynka w różowych szortach i piłowała paznokcie. Długie nogi w sandałach na grubych podszwach wyciągnęła daleko przed siebie. Na widok takich kolan nauczyciel muzyki wpadłby w obłęd, pomyślała Mari i westchnęła ciężko.

- Zaczekaj tu - rozkazał Patrick.

Mari wcale nie miała zamiaru iść do jego mieszkania.

Na widok Patricka blondynka ożywiła się wyraźnie. Ze strzępów rozmowy, której do niej docierały, Mari domyśliła się, że Patrick został właśnie zaproszony na



barbecue. Zawiedziona mina długonogiej dowodziła, że zaproszenie nie zostało przyjęte.

- Masz może cążki do skórek? - usłyszała nagle Mari.

Rozejrzała się nerwowo w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby mieć cążki.

- Nie - odparła w końcu z przepaszającym uśmiechem.

- Mam zamiar nałożyć sobie plastikowe paznokcie. - Blondynka podeszła do samochodu. - Co o tym myślisz?

- Słyszałam, że od tego można dostać grzybicy - odparła Mari.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Nowa, światowa Mari nie powinna przejmować się takimi głupstwami jak grzybica.

- Sama nie wiem. Myślałam też o namalowaniu jakichś wzorków. Albo o nalepieniu kryształków.

- Niezły pomysł - bąknęła Mari wymijająco.

- Chodzisz z Patrickiem?

- Boże uchron! Byłam u jego babci i teraz odwozi mnie do domu.

- Ach, tak. - Twarz blondynki rozjaśniła się. - Jestem Stacey. - Wyciągnęła rękę. - Zaprosiłam go na barbecue w przyszłym tygodniu, ale powiedział, że będzie zajęty. Czyż on nie ma cudownych rąk?

- Miło cię poznać. Jestem Mari. - Na temat rąk Patricka Mari nie miała nic do powiedzenia.

Zwykle była uczciwa i prostolinijna. Tym razem jednak dostrzegła okazję, by zemścić się na Patricku za jego nieustanne drwiny.

- Wiesz, jaki jest Patrick - wtrąciła niedbale. - Im bardziej udaje, że jest zajęty, tym bardziej interesuje się tobą.

- Poważnie? - Stacey nie była przekonana.

- Oczywiście. Cała jego rodzina jest taka. Coś ci poradzę. Na twoim miejscu spróbowałabym zaprosić go jeszcze raz. Tylko poszłabym do niego ze słoikiem konfitury jabłkowej. To jego ulubiony deser. Dodam jeszcze, że kobieta, która po-

trafi gotować, od razu ma u niego duże szanse.

- Myślisz, że to pomoże?

- Jestem pewna. Nie zniechęcaj się tylko, gdy nadal będzie udawał, że nie jest tobą zainteresowany.

- Kto wie? Może warto spróbować? - Stacey zamyśliła się. - Domowa konfitura z jabłek, powiadasz?

Mari skinęła energicznie głową. Kiedy Patrick zastał je pogrążone w rozmowie, zmarszczył brwi.

- Niestety, musimy jechać. - Uśmiechnął się do Stacey. - Mari spóźni się na kurs dziewiarski.

- Kurs dziewiarski? - spytała Mari cierpkim tonem, gdy odjechali kawałek.

- Miałem jej powiedzieć, że jesteś wróżką? Stacey natychmiast zmusiłaby cię, żebyś jej powróżyła.

Mari przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia po tym, co zrobiła tym dwojgu. Zaraz jednak przypomniała sobie seans tarota i przestała się przejmować.

- O czym rozmyślasz? - spytał Patrick obojętnym tonem.

- O niczym specjalnym - mruknęła.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Nigdy nie umiała kłamać. Była w tym tak samo dobra, jak we wróżbiarstwie.

- Nie rozmawialiście chyba o mojej pracy, prawda?

Spojrzała nań ze zdumieniem.

- Nie. Czemu miałybyśmy to robić? Coś przede mną ukrywasz, prawda? Coś, co dotyczy twojej pracy?

- Co tu jest do ukrycia? Pracuję w YMCA. Prowadzę drużynę baseballową.

Mari dostrzegła jednak, że Patrick mocno zacisnął szczęki i uciekł spojrzeniem w bok.

- Ukrywasz coś. Czyżbyś zamiatał boisko? A może jesteś dostawcą rękawic? Wykonujesz jakieś krępujące zajęcia, tak?

Patrick wznosił tylko oczy ku niebu.

- Wiem! - zawołała i pstryknęła palcami. - Jesteś masażystą, prawda? Powin-  
nam była wiedzieć. To dlatego Stacey powiedziała, że masz cudowne ręce. O to  
chodzi?

Patrick z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Nigdy nie słyszał, by kto-  
kolwiek w YMCA masował zawodników.

Ale skoro Mari chciała w to wierzyć... W ten sposób łatwiej będzie mu ukryć  
prawdziwy zawód.

- No, dobrze. Jestem masażystą - przyznał. - Obiecuj, że nie powiesz o tym  
nikomu.

- Przecież nie masz czego się wstydzić - powiedziała Mari z powagą. - To jest  
godziwe i uczciwe zajęcie. Oczywiście, jeżeli nie robisz nic niewłaściwego podczas  
zabiegów. - Głos zadrżał jej lekko, a policzki pokrył rumieniec.

Patrick zatrzymał samochód przed jej sklepem i pochylił się ku niej. Poczł  
delikatny zapach lawendy.

- Zapamiętaj sobie - ostrzegł. - Nie opowiadam wszystkim dookoła, w jaki  
sposób zarabiam na życie. Od ciebie oczekuję tego samego. Najlepiej byłoby, gdy-  
byś od razu zapomniała, czym się zajmuję.

- Pod jednym warunkiem. - W jej oczach rozbłysły iskierki.

- Pod jakim?

- Że i mnie kiedyś zrobisz masaż. Od dawna chciałam spróbować, jak to jest.  
Ale zawsze jakoś brakowało mi odwagi - przyznała.

Patrick uśmiechnął się szeroko.

- Zgoda. Umowa stoi. - Obszedł auto i pomógł jej wysiąść. - Tylko pamiętaj...

- Położył jej palec na ustach. - Ani słowa nikomu na temat mojej pracy... ani YM-  
CA.

Mari pokiwała głową. Patrick spojrzał jej prosto w oczy i wolniutko zaczął się  
pochylać. Tak wolno, że przez moment myślała, iż już tego nie robi.

Ale zrobił. Jego usta dotknęły jej warg. Westchnęła cicho. Nigdy dotąd nikt nie całował jej w taki sposób. Pan Harding całował ją tak, jakby próbował grać na trąbce, w dodatku marsza. Pocałunek Patricka Keegana był czystą zmysłowością.

Patrick wyprostował się tak niespodziewanie, że przez chwilę całowała powietrze. Otworzyła oczy. Wpatrywał się w nią z mieszaniną irytacji i zawstydzenia.

- Ja... Dziękuję za kolację - bąknęła, zaciskając dłonie.

- Nie zapomnij deseru. - Podniósł torebkę z ptysiami, którą upuściła.

I już go nie było.

Przez całą drogę na posterunek Patrick wymyślał sobie w duchu od idiotów. Dlaczego ją pocałował? Ale cóż to był za pocałunek! Wciąż czuł jego słodycz i żar.

Mari Lamott oznaczała same kłopoty.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

W piątkowe wieczory Mari grywała na irlandzkim fleciku. Była to jedna z tych przyjemności, które dawkowała sobie bardzo skrupulatnie. Tak jak batonik czekoladowy w każdą niedzielę.

Siedziała po turecku na małym balkonie i wygrywała w skupieniu melodie.

Nauczyła się niedawno grać starą ludową piosenkę „Nell Murphy's Cow”. Opowiadała ona o pewnej kobiecie, która wyżej ceniła inwentarz niż męża. W stanie nieustannego zdenerwowania, w jakie wprowadził ją Patrick Keegan, uczucie takie było dla Mari w pełni zrozumiałe.

Ten piątkowy wieczór był pierwszym po niedzielnej kolacji u babci Patricka. I po pamiętnym pocałunku.

Od tamtej pory Patrick nie dał znaku życia. Dzięki temu mogła przeanalizować wszystkie skutki tamtego pocałunku. W końcu doszła do wniosku, że nowa, atrakcyjniejsza Mari Lamott na pewno mogła sprowokować mężczyzn do całowania. Jednak akurat w przypadku Patricka Keegana całus nie oznaczał niczego szczególnego. Masażysta z YMCA na pewno spotykał mnóstwo kobiet. Takie cmoknięcie to dla niego jak zdawkowe powitanie lub pożegnanie.

Ten wniosek niespecjalnie poprawił nastrój Mari. Do żadnego innego jednak nie doszła. Skupiła się zatem na grze.

Tak ją pochłoneła, że nie usłyszała kroków. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch za sobą i odwróciła się gwałtownie. Tuż za nią stał Patrick Keegan.

- Jak się tu dostałeś? - krzyknęła.

- Wszedłem po schodach.

- Po ciemku? - Zaniemówiła z wrażenia. - Masz szczęście, że nie spadłeś i nie zabiłeś się.

- Postanowiłem żyć ryzykownie. Ładnie grasz. - Wskazał instrument. - To twoja cytra?

- Cytra nadal jest w reperacji. To jest flecik irlandzki.

- Ma trochę dziwne brzmienie.

- Jak mały flet. Co ty tu robisz?

- Musiałem uciec z domu. Z jakiegoś powodu przyszła do mnie Stacey ze słojem jabłkowej konfitury. Ty, oczywiście, nic na ten temat nie wiesz, prawda?

- Ja? - Mari znów poczuła ten nie chciany rumieniec.

- Tak, ty. - Skrzyżował ramiona i groźnie na nią spoglądał.

Był przekonany, że znów udało mu się ją nastraszyć.

Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, Mari odpowiedziała mu zuchwałym uśmiechem.

- Masz szczęście, że nie opowiedziałam wszystkim, że jesteś masażystą. Mam kilkoro starszych znajomych, którzy naprawdę doceniłoby twoje talenty.

Patrick z trudem zachował powagę.

- Wolimy raczej używać terminu: fizjoterapeuta - powiedział zimnym tonem.

- Wiesz - Mari wstała i podeszła do niego - powinieneś wyluzować się trochę.

- Ja? Wyluzować się?

- Bierzesz wszystko stanowczo zbyt poważnie.

Wpatrywał się w nią w zadumie. Masz rację, pomyślał. Ale nic ci do tego. I choć w ryzyko zawodu wkalkulował cyniczne widzenie świata, musiał przyznać, że Mari dostarczyła jego życiu więcej atrakcji niż jakakolwiek inna kobieta, którą znał.

- Co zatem, twoim zdaniem, powinienem zrobić? - spytał.

- Powinieneś wybrać się dokądś dziś wieczorem. - Sama była zaskoczona swoją śmiałością. Czyżby na zawsze przejęła temperament tej nowej Mari?

Patrick milczał długo. Przyjechał do niej w konkretnej sprawie. Zamierzał wybadać ją bardzo dokładnie, albowiem dwa dni wcześniej otrzymał pewien raport. Napisano w nim, że niejaka Mariette Lamott wystawiła w miniony poniedziałek kilka czeków bez pokrycia. Ta oszustka miała za sobą bardzo pracowity tydzień.

Na biurku Patricka leżał już inny raport. We środę ta sama Mariette Lamott nie stawiała się przed sędzią, przed którym miała odpowiadać za szereg nie zapłaconych mandatów.

W środę, po pracy, Patrick zaparkował auto nieopodal sklepu Mari. Postanowił poprzyglądać się jej trochę. Kiedy wsiadła do samochodu, poczuł znajomy przyływ adrenaliny. Pojechał za nią. Zatrzymała się przed domem starców. Weszła do środka z naręczem jakichś papierów. To bardzo podejrzane, pomyślał. Doszedł do wniosku, że powinien przyspieszyć jej program reedukacyjny. Zanim będzie zmuszony ją zamknąć.

- Wybrać się dokądś dziś wieczorem? - powtórzył w zamyśleniu. - Co masz na myśli?

- Kolację, może tańce.

Wyczuł brak pewności w jej głosie. Uznał jednak, że po prostu znowu coś knuła.

- Dobrze - zgodził się. - Na ten wieczór oddaję się w twoje ręce.

Mari znów oblała się rumieńcem.

Ładne rzeczy! - pomyślała, rozglądając się za torebką i kluczami. Faktycznie zaprosiła Patricka na randkę! I jeszcze uparła się, że sama zapłaci za siebie. Stała się kobietą naprawdę nowoczesną. I zaczynało to podobać się jej coraz bardziej.

Wróciła na balkon. Patrick stał nieruchomo, zwrócony tyłem do niej. Delikatny wiatr zagłuszył jej kroki. Zapatrzyła się na wspaniałą, męską sylwetkę. Muskularną i krzepką. W końcu westchnęła ciężko i Patrick odwrócił się.

- Gotowa?

- Tak. - Zakasłała nerwowo. - Czy moglibyśmy pojechać twoim samochodem? W moim pękł tłumik. Nie zdążyłam jeszcze odwiedzić warsztatu i nie chciałabym... no, wiesz.

- Być zatrzymana przez policję?

Skinęła głową.



Podejrzenia Patricka jeszcze wzrosły. Mimo to zmusił się do uśmiechu.

Mari wskazywała drogę i po kilku minutach dojechali do niewielkiej restauracji. Podczas gdy kelnerka prowadziła ich do stolika, Patrick rozglądał się nerwowo. Nie wypatrzył żadnej znajomej twarzy, mógł więc spokojnie usiąść i złożyć zamówienie.

- No to - odezwał się po chwili - opowiedz mi o sobie.

- Dlaczego?

Pierwszy raz w życiu widział kobietę tak niechętnie mówiącą na swój temat.

- Ponieważ zwykle tak się dzieje, gdy mężczyzna i kobieta spotykają się na kolacji - odparł.

- Nic o tym nie wiedziałam - mruknęła Mari, mnąc nerwowo serwetkę.

- Nic o tym nie wiedziałas, gdyż... - ponaglił ją.

Westchnęła ciężko. Patrick postanowił widać za wszelką cenę udowodnić jej, że nie ma żadnego doświadczenia z mężczyznami. Mimo to wciąż zdecydowana była udawać, że jest całkiem inną kobietą niż prawdziwa Mari Lamott, która tak dawno była na ostatniej randce, że nawet tego nie pamiętała.

- Wróżkom trudno utrzymywać z ludźmi zwyczajne kontakty - odparła. - No bo co by było, gdybyśmy poszli do kina, a ja powiedziałabym nagle: „Uważam, że nie powinieneś jechać na wycieczkę, którą zaplanowałeś na przyszły tydzień”?

- Pomyślałbym, że żartujesz sobie ze mnie. - Patrick roześmiał się głośno.

- Nie wierzysz, że czasami zdarza się nam zobaczyć jakiś okruch przyszłości?

- Nie. - Patrick zdecydowanie pokręcił głową. - Co ma być, to będzie. Niczego nie da się postanowić zawczasu.

Mari zagryzła wargi.

- Prawdopodobnie nie wierzysz więc w przeznaczenie? Również jeżeli chodzi o miłość, prawda?

- Uważam, że to bzdury - odparł. - Wskaż mi dwoje ludzi na tej planecie, którzy, przypuszczalnie, są sobie przeznaczeni, a ja natychmiast wskażę ci dwoje in-

nych, którzy mogą być dla nich jeszcze lepszymi partnerami.

- Czy jest na świecie coś, cokolwiek, w co naprawdę wierzysz?

- Oczywiście. - Delikatny uśmiezek błąkał się po jego wargach. - Wierzę, że trzeba spać pod dachem, kiedy pada deszcz. Że trzeba przechodzić przez ulicę na zielonym świetle. I wierzę w starego, dobrego rock and rolla.

Mari jęknęła głośno.

- Chyba znienawidzisz miejsce, do którego pojedziemy po kolacji - powiedziała.

- Dlaczego?

- Przekonasz się.

Zrozumiał, co Mari miała na myśli, gdy tylko dotarli do celu. Duża sala przylegająca do kręgielni tętniła muzyką country. Parkiet zapełniały pary, wirujące w tańcu pod dyktando wodzireja. Patrick nie przypuszczał, że Mari lubi takie zabawy. Radosne ogniki w jej oczach potwierdzały to ponad wszelką wątpliwość.

Po chwili zorientował się, iż wszyscy tancerze są od nich znacznie starsi. Prawie wszyscy także dobrze znali Mari. Kiedy umilkła muzyka, wielu podeszło do niej, żeby przywitać się serdecznie. Nagle Patrick odniósł wrażenie, że bywalcy lokalu przyglądają mu się z wielką uwagą, jakby oceniali, czy nadaje się na partnera dla Mari.

- Nigdy jeszcze nikogo tu nie przyprowadziła - szepnął mu konfidentycznie jeden ze starszych panów, poklepując go po plecach. - Prawie już w nią zwątpiliśmy. Moja Ethel - otoczył żonę ramieniem - próbowała nawet wyswatać ją z moim bratankiem, Johnnym, ale wie pan, jacy są dzisiaj młodzi... Nie słuchają nikogo powyżej sześćdziesiątki. - Uśmiechnął się i jeszcze raz serdecznie ucisnął dłoń Patricka.

Mari spłonila się jak piwonia.

- Zatańczymy? - spytała, gdy zostali sami.

Ku zdziwieniu Patricka była bardzo zakłopotana.

- Teraz? Połowa tu obecnych stała w ogonku, żeby potrząsnąć moją ręką, a ty każesz mi wmieszać się w drugą połowę?

Dostał kuksańca w bok, roześmiał się i ruszył za Mari na parkiet.

Od lat już nie bawiłem się tak wspaniale, myślał Patrick w drodze do domu. Z nie wyjaśnionych powodów w obecności Mari wypoczywał jak nigdy. Chociaż stale w głębi duszy gnębiło go pytanie: „W jakie znowu tarapaty ta kobieta wplącze się w najbliższym czasie”?

- Napijemy się kawy... czy czegoś innego? - spytała Mari nieśmiało, kiedy znaleźli się przed jej domem.

Zdecydowanie wolałby coś innego. Na to jednak nie mógł sobie pozwolić. Nie powinien dać się kierować hormonom, gdy musiał zachować jasny umysł dla ratowania Mari przed ostatecznym upadkiem.

- Masz na myśli prawdziwą kawę? - spytał. - Nie jakiś napój wzmacniający o smaku kawowym?

- Prawdziwą kawę?

Kiedy otwierała drzwi do sklepu, spostrzegł, że nie ma tam żadnej instalacji alarmowej. Trudno. Nie zamierzał zamartwiać się możliwością włamania, skoro sama Mari wciąż prowadziła działalność niezgodną z prawem.

W panujących w sklepie ciemnościach wpadł na nią niechcący.

- Przepraszam - wymamrotał. Ale nie zdjął ręki z jej pleców.

Mari znów poczuła ten niezwykły dreszcz, który wywoływał każdy dotyk Patricka.

W kuchni przywitało ich niecierpliwe miauczenie kota.

- Co, Rex, miska pusta? - zatroskała się Mari.

- Wiesz, że Rex to imię dla psa, a nie dla kota?

- Naprawdę to on nazywa się T. Rex. Jak dinozaur. Bo ma taki ogromny apetyt. Poza tym to straszny tchórz. Ilekroć wychodzę, zawsze uważa, że już nigdy nie wrócę.

Biorąc pod uwagę czeki bez pokrycia i nie zapłacone mandaty, kot może mieć rację, pomyślał Patrick.

Mari włączyła ekspres. Ustawiła na stole cukiernicę i dzbanuszek ze śmietanką. Wysypała na talerz trochę ciasteczek i gestem dłoni zaprosiła Patricka, by usiadł. Nie bardzo wiedziała, co dalej. Nie umiała przyjmować mężczyzn. Zwłaszcza w późny, piątkowy wieczór. Może powinna włączyć muzykę? Albo zapalić nastrojowe światło? Nie podejrzewała jednak, żeby Patrick był aż tak romantycznie usposobiony. A gdyby nawet był, ona i tak nie wiedziałaby, co z tym fantem zrobić.

Patrick ze smakiem zjadł ciasteczko.

- Czy te wypieki nie zawierają jakichś specjalnych składników? - upewnił się na wszelki wypadek. Dwa razy zdarzyło mu się trafić na przyjęcie, gdzie poczęstowano go ciastkami z marihuaną.

- Noo... - Mari nie mogła, rzecz jasna, zrozumieć, o co mu chodzi. - Dodałam po prostu naturalnej wanilii. Uważam, że to ma wielkie znaczenie dla poprawienia smaku.

- Bez wątpienia. - Patrick z trudem zdołał zachować powagę.

Postawiła na stole kubki z kawą. Do swojego wsypała półtorej łyżeczki cukru.

- Złotko - powiedział - po tej kawie, czekoladzie i cukrze będę cię chyba musiał związać. Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, która aplikowałaby sobie tyle środków pobudzających naraz.

- Naprawdę? - zdumiała się Mari. - Co robią kobiety, które znasz?

- Co masz na myśli?

- Na przykład, co jedzą? - Skoro już miała stać się inną Mari Lamott, postanowiła usłyszeć o szczegółach kobiecych zachowań z ust eksperta.

- Większość z nich jest na diecie. - Wzruszył ramionami. - Jedzą mnóstwo surówek. Wieczorami, oczywiście, pijają piwo lub wino. Szczerze mówiąc, jesteś jedyną kobietą, która poczęstowała mnie napojem wzmacniającym i ciasteczkami.

- O kurczę! - Mari była zupełnie zbita z tropu.

- Ależ nie mam nic przeciw temu - zapewnił ją Patrick gorąco. - Co prawda nie przepadam za wzmacniającymi napojami, ale ciasteczka pieczesz nawet lepsze niż moja babcia. Tylko nie mów jej, że to powiedziałem.

Mari zagryzła wargę. Żadnych napojów wzmacniających, zanotowała w myślach. Zrobić zapasy wina i piwa.

- A co te kobiety robią wieczorami? - spytała. - Na przykład, na randkach?

- Prawie to, co my - odparł. - Czasami chodzą do kina. No i, oczywiście, zabawiają się.

- Oczywiście - powtórzyła. Po czym niepewnym tonem spytała: - Jak się zabawiają?

- Mam opowiedzieć ze szczegółami?

- No... tak. Jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Gdzieś ty się chowała, złotko? W klasztorze?

- Niezupełnie - splonęła się. - Ale zawsze byłam bardzo skryta... i nieśmiała.

Rzeczywistość była nieco inna. Mari tak była zajęta doglądaniem pijącej matki, pomaganiem babci w prowadzeniu domu i nieustannym wyciąganiem Mariette z tarapatów, że nie miała już czasu, by spotykać się z chłopcami. Wciąż zatopiona w książkach i nutach, w szkole średniej stała się jeszcze bardziej nieśmiała. Lęk przed ośmieszeniem się wprost ją paraliżował. Dlatego też jej jedynym doświadczeniem seksualnym był kontakt z panem Hardingiem. I choć z medycznego punktu widzenia nie była już od tamtej pory dziewicą, wcale nie była przekonana, czy tych trzydzieści sekund można uznać za stosunek.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie pieściłaś się z chłopakiem? - spytał Patrick z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że tak - bąknęła. Zbyt była zawstydzona, by przyznać się, że jej jedynym doświadczeniem był przykry kontakt z nauczycielem muzyki. - Tylko że on nie był stąd. I nie wiem, czy robił to dobrze.

- A kimże on był? Kosmitą?

- Miał uczulenie na perfumy i mydło. Nie mógł... dotykać ciała kobiety. -  
Prócz kolan.

Patrick westchnął głęboko. Albo Mari kpiła sobie z niego w żywe oczy, albo naprawdę dorastała pod kloszem.

- Chodź tu. - Poprowadził ją na kanapę.

Usiadła. Trochę skrepowana, trochę podniecona.

Patrick długo patrzył jej w twarz. Zobaczył na niej tylko szczerłość i niewinność. Nie uwierzył. Był pewien, że Mari próbuje uspić jego czujność. Na przykład po to, żeby wyłudzić pieniądze od jego babci. Górę wzięła jednak ciekawość. Jak zamierza to rozegrać?

Pogłaskał ją po policzku. Pod wpływem jego dotyku Mari zeszywniała. Przesunął palcami po jej wargach.

- Przestanę, kiedy tylko sobie tego zażyczysz - obiecał.

Mari siedziała bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami.

Wziął ją w ramiona i obrócił plecami do siebie. Pociągnął delikatnie i położył sobie na kolanach. Leżała sztywna jak deska.

- Rozluźnij się - poprosił. - To w niczym nie przypomina wizyty u dentysty. Przecież wiesz.

- Wiem? To znaczy, tak... wiem - wybąkała.

Albo była tak wspaniałą aktorką, albo naprawdę nie miała żadnego doświadczenia z mężczyznami. Na wszelki wypadek, żeby jej nie wystraszyć, Patrick postanowił zachować ostrożność. Ledwie muskając jej skórę opuszkami palców, przesunął dłonią po szyi, piersiach i brzuchu. Mari zadrżała gwałtownie.

- Spokojnie, kochanie. Robię to zbyt szybko?

- Nie. - Ledwie usłyszał jej słaby szept.

- A teraz rozluźnimy trochę ubranie. - Odpiął guzik jej džinsów i wolno rozsunął zamek.

- Czy ja powinnam teraz coś robić? - spytała. - Bo słyszałam, że mężczyźni

nie lubią biernych kobiet.

- Nie musisz nic robić, złotko. - Patrick z trudem powstrzymał śmiech. - Zrobimy to delikatnie i pomału.

Uniósł do góry bluzeczkę i dotknął jej piersi. Jęknęła cicho i wygięła się do tyłu. Patrick sięgnął po zapięcie jej staniczka i zręcznym ruchem zsunął go niżej. Zapatrzył się na mlecznobiałe piersi z brzoskwiniowymi brodawkami. Potem zaczął wodzić po nich delikatnie palcami, zataczając kręgi wokół sutek. Mari wyginała się i przeżyła, zaciskała dłonie na krawędziach kanapy.

Pocałował ją w szyję. Łagodnie chwycił skórę zębami, aż zaczęła pojękiwać cichutko. Wolniuteńko sunął koniuszkiem języka po aksamitnej skórze, coraz niżej i niżej. Kiedy chwycił wargami sutkę, Mari drgnęła i krzyknęła cicho.

- Patricku, chcę... Już nie wytrzymam - szepnęła.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła się mocno do niego. Pojękiwała raz po raz. Patrick czuł, że powinien przestać. Jednak nie mógł oprzeć się pokusie. Ostrożnie wsunął dłoń w jej rozpięte spodnie.

Uniósł głowę. Chciał znowu pocałować Mari w szyję. Lecz nie zdołał. Podniosła głowę i wpiła się ustami w jego wargi. Patrick oddychał z trudem. Zanim zorientował się, co się stało, niemal zsunął z niej dzinsy. Uniósł głowę i napotkał pełne namiętności spojrzenie brązowych oczu.

Zrozumiał, że posunął się zbyt daleko. Jeszcze minuta takich pieszczot i zerwałby z niej majteczki.

Mari zerknęła na niego ze smutkiem i próbowała przyciągnąć go do siebie.

- Spokojnie, złotko - sapnął. - Myślę, że na dzisiaj wystarczy.

Powoli zaczął porządkować jej ubranie. Kiedy spojrzał jej w twarz, zauważył, że znowu płonęła rumieńcem.

- Przepraszam - mruknęła, siadając. - Chyba nie jestem w tym zbyt dobra.

- Jesteś świetna. Ale... No, wiesz, nie mam ze sobą żadnego zabezpieczenia - dodał, widząc zawód w jej oczach. - A wolę nie ryzykować.



- Zabezpieczenia? - spytała skonfundowana.

- Prezerwatyw - wyjaśnił.

Mari zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Jeśli to w ogóle było możliwe.

- Och! - Jako kobieta wyzwolona poniosła właśnie druzgocącą klęskę. Najpierw nie miała piwa, teraz prezerwatyw. Wiele jeszcze musiała zrobić, by stać się ekscytującą Mari Lamott.

- Nie martw się. Pieszczoty wymagają praktyki.

- Moglibyśmy zrobić to jeszcze raz? - ucieszyła się.

- Nie teraz - odparł Patrick łagodnie. - Mamy dużo czasu. - Dużo czasu, by powstrzymać jej oszukańcze praktyki, zanim napyta sobie biedy. Będzie musiał jeszcze usilniej pracować nad jej resocjalizacją. Spojrzenie wielkich, brązowych oczu mąciło mu myśli.

- Przyjadę jutro - obiecał.

Ruszyli ku schodom.

- Czy znów będziemy się pieścić? - spytała z nadzieją.

- Nie od razu, złotko - odparł. - Najpierw muszę wymienić tłumik w twoim samochodzie. - Zatrzymali się u podnóża schodów i w panujących w sklepie ciemnościach Patrick usiłował dojrzeć jej twarz. - Przecież potrzebny ci jest nowy tłumik, prawda?

- Oczywiście - bąknęła. - Ale nie rozumiem, dlaczego chcesz zrobić to dla mnie?

- Ponieważ mężczyźni i kobiety wyświadczają sobie drobne przysługi. Zwłaszcza wówczas, gdy już zaczęli pieścić się nawzajem.

- Co ja powinnam zrobić w zamian?

- No, cóż... - zastanawiał się. Tyle było możliwości. Mógł kazać Mari zaniechać jej wróżbiarskich praktyk. Ale to byłoby zbyt łatwe. A on lubił ryzyko. Chciał odmienić ją w sposób bardziej... dramatyczny. A poza tym bardzo podobała mu się ta zabawa w kotka i myszkę. - Przygotujesz mi lunch.

- Zgoda. Masz jakieś specjalne życzenia?

- Może być zapiekanka. - Pocałował ją w nosek. - Do jutra!

Mari zamknęła za nim drzwi i prawie sfrunęła po schodach.

- Rex - powiedziała do kota - czuję, że zmieniam się z każdym dniem. I wiesz, co teraz zrobię? Zamówię coś z katalogu domu wysyłkowego „Victoria's Secret”.

Rex na chwilę uniósł łepkę i spojrzał na swoją panią. Potem wrócił do czyszczenia futerka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Późnym rankiem następnego dnia Mari wydobyła z komórki pod schodami rower. Wygodniej byłoby pojechać samochodem, ale nie wiedziała, o której mógł zjawić się Patrick. A za nic na świecie nie chciałyby, żeby przyjechał z nowym tłumikiem i wrócił z nim do domu dlatego, że jej nie zastał.

Na wszelki wypadek zostawiła za szybą kartkę z wiadomością.

„Party! Party! Party!” Taką nazwę nosił czynny całą dobę sklep, usytuowany pięć przecznic od jej domu. Mari nigdy jeszcze nie była w środku, ale uznała, że przyszła pora, by to zmienić.

Pryszczaty młodzieniec przy kasie wyglądał zbyt młodo, by sprzedawać alkohol. Mari wolałaby raczej ekspedientkę. Ale trudno.

Weszła między zapelnione butelkami półki i rozglądała się przerażona. Nie miała pojęcia, co wybrać. Jej matka pijała whisky. Widząc skutki tego nałogu, Mari stanowczo unikała jakiegokolwiek kontaktu z napojami wysokowymi.

W tej sytuacji jedynym rozwiązaniem było kupienie po jednej butelce z każdego gatunku. Ale na to nie było jej stać. Postanowiła zatem wziąć najtańszą butelkę z każdej półki.

Chłopak zza kasy przyglądał się jej z rosnącym zainteresowaniem.

Wystawiła zakupy na ladę. Uzbierało się tego trochę. Dziesięć butelek i kar-

ton piwa. Wódka, burbon, rum, gin, whisky, wino i cztery gatunki likierów. Rachunek sprawił ją w osłupienie.

Rozejrzała się jeszcze po sklepie. Jej wzrok zatrzymał się na stojaku z kolorowymi pismami dla panów. I drugim, obok tamtego. Umieszczono na nim niesamowitą ilość prezerwatyw. Znów, jak w kwestii alkoholu, Mari stanęła przed nie lada problemem. Oferta tak olbrzymia, a ona nie wiedziała, co wybrać. W końcu, podobnie jak chwilę wcześniej, wybrała po jednym opakowaniu z każdego rodzaju.

Chłopak przy kasie oniemiał, kiedy wyłożyła kolejne sprawunki. Trzy kolorowe magazyny i pięć paczek prezerwatyw to nie było co.

- Dobrego dnia, pszepani - rzucił łamiącym się głosem, wydając resztę.

Mari musiała zrobić dwa kursy, żeby przenieść zakupy na rower. A potem jeszcze natrudziła się sporo, by jakoś to wszystko zamocować.

- Pszepani - usłyszała. Wyraźnie skrępowany sprzedawca stał w drzwiach. - Czy pani szykuje orgietkę? Jeszcze nigdy w czymś takim nie uczestniczyłem.

Mari nie miała pojęcia, co to jest orgietka. Jednak była absolutnie pewna, że nie planuje niczego w tym stylu.

- Bardzo mi przykro - odparła. - Ja tylko uzupełniam zapasy.

- Jeeezu! - westchnął chłopak, patrząc za odjeżdżającą klientką.

Dojechała do domu, czując ból w nogach. Zapomniała o nim natychmiast, gdy ujrzała Patricka. Obok niego stała na ziemi skrzynka z narzędziami.

Popatrzył na przyczepiony do kierownicy karton z piwem. Potem, z rosnącym zdumieniem, na szyjki butelek sterczące z koszyka na bagażniku.

- Wydajesz przyjęcie? - spytał.

Wziął torbę z zakupami i ruszył do domu.

- Tylko uzupełniam zapasy.

Uniósł wysoko brwi, lecz nic nie powiedział. Ale kiedy postawił torbę na kuchennym stole i zajrzał do niej, osłupiał.

- Widzę, że uzupełniasz też domową biblioteczkę? - Uniósł wysoko kolorowe

pisma. „Cycate Panienki”, „Węzły Miłości”, „Chłopiec Chłopcu”.

Mari zaczerwieniła się i szybko zabrała mu torbę, żeby nie zdążył zauważyć prezerwatyw.

- Chciałam dowiedzieć się, co lubią mężczyźni - wyjaśniła.

- Gdybyś przejrzała to, zanim kupiłaś - podał jej „Chłopca Chłopcu” - zorientowałaś się, że ci mężczyźni lubią innych mężczyzn.

- Co? - Mari nie bardzo wiedziała, co Patrick miał na myśli. Otworzyła pismo. - Och! - jęknęła tylko.

- Zauważyłabyś, że mężczyźni, którzy czytują te pisma, mają... specyficzne upodobania.

Choć ciekawość ją zżerała, nie mogła przecież dokładnie obejrzeć pism. Nie w obecności Patricka.

- Napijesz się czegoś? - zmieniła temat.

- Może później. - Z niechęcią spojrzął na torbę wypchaną butelkami z alkoholem. - Chyba lepiej zajmę się tłumikiem.

Nie zdołał się powstrzymać i już będąc na schodach, obejrzał się przez ramię. Mari z wypiekami na twarzy i szeroko otwartymi oczami przeglądała „Węzły Miłości”.

Tłumiąc śmiech, ruszył w dół.

Patrick skończył wymieniać tłumik tuż przed południem. Poczł zmęczenie. W tym tygodniu wypadły mu nocne patrole. Z wyjątkiem poprzedniego dnia, kiedy i tak nie mógł usnąć po spotkaniu z Mari.

Tego dnia musiał wstać bardzo wcześnie. Przed wizytą u Mari zawiózł jeszcze babcie na bazar, po warzywa Starsza pani bardzo chwaliła sympatyczną wróżkę. Lubiała ją. Patrick nic nie powiedział o czekach bez pokrycia i nie zapłaconych mandatach. Wziął sprawy w swoje ręce i zamierzał doprowadzić rzecz do końca.

Wycierał właśnie dłonie w szmatę, gdy w drzwiach sklepu stanęła Mari. W białych szortach i różowej bluzeczce wyglądała niezwykle dziewczęco i ponętnie.

W ręce trzymała pustą puszkę po kawie.

- Ile jestem ci winna za tłumik? - spytała.

- Nic. - Potrząsnął głową.

- Nie mogę przyjąć takiego prezentu.

- Masz rację. Rzeczywiście jest zbyt osobisty.

- Wiesz, o co mi chodzi. Przecież to kosztowało.

- Coś ci zaproponuję. Możesz kiedyś postawić mi obiad.

- Zgoda - odparła z wahaniem. - Zostawiłam ci na stole zapiekankę. Ja muszę teraz... coś załatwić.

- Mogę pomóc ci w czymś? - spytał Patrick.

- Nie, nie trzeba. Dam sobie radę. - Nie chciała powiedzieć mu, dokąd się wybiera. Nowoczesne kobiety nie zajmują się takimi sprawami w soboty.

- Mam dziś wolne popołudnie - nalegał.

- Czy ja wiem? - Zagryzła wargi. - Zamierzałam pochodzić trochę po okolicy. Zbieram pieniądze na fundusz biblioteczny. Powinnam oddać je w poniedziałek, a jeszcze nie zdążyłam ich zgromadzić.

- Pieniądze?!

- Myślę, że uda mi się zebrać choć trochę. Co prawda w okolicy mieszka dużo starszych ludzi, którzy nie mogą ofiarować zbyt wiele, ale... Co się stało?

Staruszkowie? Więc to tak! To były jej ofiary. I to w najbliższym sąsiedztwie! Ze zgrozą pomyślał, że pieniądze z „funduszu bibliotecznego” wylądują w kieszeni Mari Lamott. Ktoś to kiedyś odkryje i Mari będzie miała poważne kłopoty. A on nic nie będzie mógł na to poradzić.

- Chcesz powiedzieć, że chodzisz od drzwi do drzwi i prosisz o pieniądze bez żadnych dokumentów czy jakiegokolwiek zaświadczenia?

Mari skinęła głową.

- Prawie wszyscy mnie tu znają - wyjaśniła. - Najczęściej to właśnie ja kwestuję w tej okolicy, kiedy organizowana jest wyprzedaż na rzecz szkolnej orkiestry

albo harcerzy. Organizowałam także straż obywatelską w tej dzielnicy. Byłam więc już we wszystkich domach.

Coraz gorzej! Odwiedziła już każdy dom! Jak to możliwe, że ktoś tak delikatny i miły na pozór jednocześnie jest równie bezwzględny, gdy chodzi o pieniądze. Zupełnie jakby mieszkały w niej dwie różne osoby.

- O rety! - Mari westchnęła z rezygnacją. - Widzę, że nie podoba ci się moja działalność. Jestem pewna, że inne kobiety nie zajmują się podobnymi sprawami. Ale ja lubię spotykać się z ludźmi, zwłaszcza starszymi. Wśród rówieśników nie czuję się zbyt swobodnie.

- To prawda. Inne kobiety nie zajmują się takimi sprawami - odparł. Miał na myśli, rzecz jasna, zupełnie co innego niż ona. - Posłuchaj. Daj mi minutę. Zjem tylko zapiekanekę, umyję ręce i pójdę z tobą.

- Naprawdę? - uradowała się.

- Tak. I niech Bóg mi pomoże - dodał z zapalem, co prawda trochę udawanym.

Ale przecież musiał przyznać, że - na swój sposób - polubił Mari. I chociaż był śmiertelnie zmęczony, postanowił razem z nią dokonać najazdu na sąsiadów. Ostatecznie nie mogła chyba znać ich zbyt wielu.

Znała wielu sąsiadów. Bardzo wielu. Patrick przekonał się o tym dobitnie. Po trzech godzinach nie czuł nóg ze zmęczenia i zaczynała boleć go głowa. A Mari była wesolutka jak ptaszek. Zebrała sto osiemdziesiąt dziewięć dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Większość w gotówce. Wydawało się, że w promieniu pięciu kilometrów zna ją każdy, kto skończył sześćdziesiąt lat.

Kiedy wyruszali, zaproponował, żeby pojechali jego samochodem. Mari nie zgodziła się.

- Oni zwykle siedzą na werandach - wyjaśniła. - Obserwowanie przechodniów jest dla nich przyjemnością i rozrywką.

- Koniec na dzisiaj? - spytał, kiedy Mari skierowała się wreszcie w stronę

sklepu. - Czy może zamierzasz przy okazji obejść jeszcze Kanadę?

Mari roześmiała się głośno.

- Myślę, że na dziś wystarczy. Jesteś głodny?

- Potwornie! - Spojrzał na zegarek. - Cholera! Za pół godziny muszę być na boisku.

- No, to jedź. - Była zawiedziona. - A ja zawiozę pieniądze do nocnej skrytki w banku. W poniedziałek wypiszę w bibliotece czek. Dziękuję za pomoc.

Jednak dla Patricka to jeszcze nie był koniec. Obawiał się zostawić Mari z pieniędzmi bez nadzoru. Nie mógł wystawić jej na taką pokusę.

- Mam dla ciebie propozycję - powiedział. - Może pojechałabyś ze mną na mecz? Po drodze zjedlibyśmy po hot dogu.

- Czemu nie - odparła i uśmiechnęła się.

W ten sposób Patrick stanął przed kolejnym problemem. Wszystkie dzieciaki w drużynie wiedziały, że jest policjantem. A gotów był iść o zakład, że na pewno będą chciały porozmawiać z Mari.

- Jest tylko pewien problem - zaczął ostrożnie. - Kwestia mojego... wizerunku. Spojrzała na niego zdezorientowana.

- Chłopcy myślą... To znaczy, powiedziałem im, że jestem... policjantem.

- Okłamałeś ich? - spytała oburzona.

Przyganiał kocioł garnkowi, pomyślał ze złością. Przyszło mu jednak do głowy, że może ona jest patologiczną kłamczuchą. Osobą, która po prostu nie widzi różnicy między kłamstwem a prawdą.

- Troszkę podkolorowałem fakty - wyjaśnił. - Pracuję jako ochroniarz.

- Ale jeśli nie powiesz dzieciom prawdy... - Zamilkła niespodziewanie. - Rozumiem! Chodzi o to, że jesteś masażystą, tak?

- Fizjoterapeutą - poprawił ją machinalnie.

- Może ty rzeczywiście masz racje? Chłopcy mogliby nie zrozumieć wszystkiego. Chodzi mi o to, że to jest zawód budzący skojarzenia... erotyczne. - Wzro-



kiem szukała w jego twarzy potwierdzenia swoich przypuszczeń.

- Tak jest - przyznał z ociąganiem.

- No cóż... W tym przypadku chyba tak będzie lepiej. Czy jednak nie mogłeś wymyślić czegoś innego? Powiedzieć, że jesteś... czy ja wiem... kierowcą autobusu?

- Policjant ma większe poważanie i posłuch. To ułatwia mi zapanowanie nad chłopcami.

- Rozumiem. Ale kiedyś powiesz im prawdę?

- Oczywiście. Zdecydowanie uważam, że prawda to dobra rzecz.

Patrick z wielką trudnością usiłował skupić uwagę na przebiegu gry. Mari siedziała na trybunie obok starszej kobiety i rozmawiała z nią. Rozmawiały tak już ponad godzinę. Patrick kątem oka zauważył, że kobieta wybuchnęła śmiechem, i zastanawiał się, co też Mari jej powiedziała.

- Trenerze? - usłyszał nieśmiały głosik. To był Davy. Ale musiał powtórzyć jeszcze raz, nim Patrick oderwał wzrok od Mari. Uświadomił sobie przy okazji, że minęła już połowa meczu.

- Trenerze, Andrew pyta, czy pozwoli mu pan zagrać. Uważa, że powinien dostać swoją szansę jak inni.

Patrick westchnął ciężko. Andrew nie odzywał się prawie nigdy. A kiedy już otworzył usta - kłął jak szewc. Podczas poprzedniego meczu nawymyślał rywalom i dlatego w tym spotkaniu nie grał.

- Davy, czy ty jesteś adwokatem Andrew? W pierwszym momencie Davy nie zrozumiał.

- Nie - bąknął po chwili. - On... To znaczy... Tak się tylko zastanawiałem.

Patrick chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz zrezygnował. Osłonił oczy od słońca i wbił wzrok w trybuny. Davy zrobił to samo.

- Trenerze - odezwał się po chwili. - Przeprowadził pan dzisiaj swoją narzeczoną? - spytał.

- Co? - Zaskoczony Patrick omal nie wszedł do wiadra z wodą.

- Chciałem tylko, żeby pan wiedział, że ja się orientuję, jak to jest - powiedział poważnie Davy. - Miałem narzeczoną w zeszłym roku. Ale ona wciąż chciała robić różne głupstwa. Stale próbowała mnie pocałować, więc musiałem ją zostawić. Wiem, jak to jest - powtórzył.

Davy odszedł na ławkę, a Patrick spróbował skupić się na grze. Bez skutku. Wciąż zastanawiał się, o czym Mari mogła tyle czasu rozmawiać z tamtą staruszką. Był niemal pewien, że wypytywała ją o polisę ubezpieczeniową i pieniądze z emerytury.

Poza tym pojawił się nowy kłopot. Jak powinien przedstawiać Mari znajomym? Jako narzeczoną, jak sugerował Davy? Czy jako przyjaciółkę babci? Chyba jednak najlepiej mówić, że to moja przyjaciółka, pomyślał. W jakimś sensie była to prawda. Była przyjaciółką w potrzebie. Jak wielu innych ludzi, którym pomógł w podobnej sytuacji.

Przyszło mu na myśl, że może dobrze byłoby poznać ją z nimi. Niechby zobaczyła, że można żyć bez wyludzania pieniędzy od staruszków. Tak go ta myśl uradowała, że aż klasnął w dłonie, gdy piłka wyleciała na aut. Szkoda tylko, że to był aut jego drużyny.

- On ma narzeczoną - Davy szeptem objaśnił zdumionych kolegów.

Nim mecz dobiegł końca, ból głowy stał się nie do zniesienia. Patrick tak był zajęty pilnowaniem Mari, że przez cały dzień nie zdążył nic zjeść. Żołądek ścisnął mu się z głodu, w skroniach łupało, a w oczach pojawił się obłęd. Wymamrotał kilka słów pożegnania do chłopców oraz ich rodziców i pognął do Mari.

- W co wpakowałaś się tym razem? - warknął bez żadnych wstępów.

- Nie rozumiem? Boli cię głowa, prawda? Mówiłam ci, że hot dogi nafaszerowane są azotanami. - Zanurzyła rękę w torebce. - Proszę. Zawsze mam przy sobie rodzynki, na wypadek gdybym była głodna.

- Czyja to była babcia? - spytał z napięciem Patrick.

- Powiedziała, że jej wnuczek ma na imię Davy.
- Kiedy znów macie zamiar się spotkać?
- Skąd wiesz, że zamierzam ją odwiedzić?
- Bowiem los płata mi właśnie kosmicznego figla - jęknął.

Mari nie zrozumiała, o co mu chodziło. Ale był w takim nastroju, że bała się o cokolwiek spytać. Westchnęła tylko głęboko.

- Zaprosiła mnie jutro na lunch. Będzie u niej kilka przyjaciółek i pomyślała, że mogłabym... - zawahała się - powróżyć im.

- Ile ma ci za to zapłacić? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Przecież wiesz, że nie robię tego dla pieniędzy. - Pod gniewnym spojrzeniem Patricka spuściła głowę. - Obiecała datek na fundusz biblioteczny - odparła cicho. - Choć powiedziałam, że wcale nie musi nic dawać. Ale nalegała.

- No pewnie - bąknął ponuro.

Już dawno nie miał tak koszmarnego dnia. Nawet kiedy uganiał się przy kanadyjskiej granicy za złodziejami samochodów, nie był tak wyczerpany.

- Chodź - powiedziała Mari. - Zabiorę cię do domu i zrobię kolację. W końcu jestem ci to winna. Za tłumik.

Skąd w tej diablidy tyle słodczy? - myślał ze zdumieniem, gdy pozwolił prowadzić się za rękę.

W jej mieszkaniu panował przyjemny chłód. A gdy zrobiła mu zimny okład na skronie, ból zelżał.

Rzucił kluczyki od samochodu na kuchenny blat, usiadł przy stole i zastanawiał się, co zrobić, żeby mieć Mari na oku przez cały weekend. Dzięki temu w poniedziałek pieniądze na pewno trafiłyby do biblioteki. Stało się to dla niego sprawą honoru.

Mari postawiła przed nim talerz, na którym leżał hamburger z frytkami.

- Czego się napijesz? - spytała.

- Masz zimne mleko?

Stropiła się.

- Tak mi przykro! Nie kupuję mleka. Mam skazę białkową. Ale w lodówce stoi nektar wzmacniający i piwo. W barku zaś inne alkohole.

Myśl o jakimś mocniejszym trunku wstrząsnęła Patrickiem równie mocno, jak wspomnienie nektaru wzmacniającego. Dostrzegł jednak w spojrzeniu Mari tyle nadziei, że nie miał serca poprosić o szklanek wody.

- Może być piwo - zgodził się.

- Dodać lodu?

Uśmiechnąłby się, gdyby nie ten ból głowy.

- Nie, złotko, nie trzeba.

Piwo było cienkie, ale dzielnie wypił je do dna. Po kilkunastu minutach zaczęła działać aspiryna. Poczł wyraźną ulgę. Tylko zmęczenie zaczęło dawać znać o sobie ze zdwojoną siłą. Usypiał na siedząco.

Mari włączyła telewizor. Patrick podniósł się z trudem. Marzył o łóżku.

Rozejrzał się po kuchennym blacie w poszukiwaniu kluczyków do auta. Głowę by dał, że je tam zostawił. Kluczyków nie było! A Mari? Gapiła się w ekran jak zahipnotyzowana, choć akurat wyświetlano reklamy.

- Nie widziałaś moich kluczyków do samochodu?

- Nie - odparła natychmiast. Trochę zbyt szybko. I nawet na niego nie spojrziała.

- W porządku. - Westchnął. - O co chodzi?

- Obawiam się, że nie mogę pozwolić ci prowadzić. - Przygryzła wargę.

- O czym ty mówisz?

- Schowałam twoje kluczyki. Nie jesteś całkiem... sprawny.

- Co takiego?! - Ruszył ku niej, ale ona zerwała się na równe nogi i uciekła za kanapę.

- Bardzo mi przykro - powiedziała - ale nie ustąpię.

- Wypiłem tylko jedno słabe piwo. To stanowczo zbyt mało, by uniemożliwić

mi jazdę.

- Możliwe. Ale jesteś potwornie wyczerpany i boli cię głowa. Nie mam ochoty wykupywać cię z aresztu, jeśli zatrzyma cię policjant i poczuje zapach piwa.

- Nikt nie zamierza wsadzać mnie do aresztu.

- To już inna sprawa. Nie chce się wtrącać, ale czasem jesteś stanowczo zbyt pewny siebie.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się leciutko.

- Tak. - Wystraszył ją.

Pomału obszedł kanapę i stanął tuż przed nią.

- Wiesz... - zaczął. - Jednego jestem absolutnie pewien: że odbiorę ci te kluczyki.

- Przecież to naprawdę dla twojego dobra - bąknęła. - Nie przywykłam do tego, by mężczyźni spędzali noc w...

Zdażyła tylko krzyknąć i już leżała na kanapie unieruchomiona w potężnym uścisku Patricka.

- A teraz - mruknął i uśmiechnął się szeroko - przypomnij mi, co mówiłaś o mojej zbytnej pewności siebie?

- Patricku, porozmawiajmy.

- Nie ma mowy, złotko. - Nie krył rozbawienia. - Na to jest już trochę zbyt późno. Obawiam się, że będę musiał cię przeszukać.

Mari zagryzała wargi. Lecz coś mu mówiło, że tak naprawdę wcale się nie boi. Widział to w jej oczach.

- Gdzie też mogłaś ukryć te kluczyki... - Z rosnącym zainteresowaniem wpatrywał się w jej dekolt.

- Patricku, ja naprawdę nie mam ich przy sobie.

- Nie wyłgasz się tak łatwo. - Mocno ściskając w dłoni oba jej nadgarstki, drugą rękę pomału wsunął pod bluzeczkę. Z satysfakcją obserwował, jak jej oddech staje się coraz gwałtowniejszy. Przez koronkę staniczka dokładnie obmacywał jej

piersi. Tak długo, aż zaczęła pojękiwać z cicha. Wtedy rozpiął zapinkę i zsunął staniczek. Przez moment w zachwycie wpatrywał się w naprężone sutki. Potem pochylił głowę i ujął jedną wargami. Mari wygięła się w łuk, z rozkoszą poddając się tym zabiegom. A kiedy uwolnił jej rękę, objęła go mocno.

Patrick rozpiął jej dzinsy i głęboko wsunął w nie rękę. Oddychał coraz szybciej. Przenosił usta z jednej piersi na drugą, aż usłyszał, jak Mari szepce jego imię.

- Proszę! - szepnęła błagalnie.

Spojrzał na zamglone jak w gorączce oczy Mari, na rozchylone usta i drżące ciało. Po raz pierwszy w życiu spotkał kobietę reagującą tak gwałtownie i spontanicznie. I tak szybko. Żadna dotąd nie szepnęła „proszę” tak słodko i czule.

Niewiele brakowało, by stracił panowanie nad sobą. By zapomniał, z kim ma do czynienia i jakie są jego zadania. Oraz że miała to być tylko zabawa w odzyskiwanie kluczyków.

Ręce drżały mu lekko, gdy zapinał spodnie Mari, poprawiał jej staniczek i obciągał bluzeczkę.

- Przepraszam - szepnęła łamiącym się głosem.

- Nie ma za co - burknął.

- Ja nie chciałam.

- Nie zrobiłaś nic złego, Mari. - Nie starczyło mu odwagi, by spojrzeć jej w oczy. I choć tłumaczył sobie, że stracił panowanie nad sobą wskutek straszliwego wyczerpania, czuł, że to on ponosi odpowiedzialność za to, co zaszło.

- Pewnie chciałbyś odzyskać kluczyki - powiedziała cicho.

Stała przed nim, taka żalosna, że zapragnął wziąć ją w ramiona.

- To chyba ty miałaś rację. - Pokręcił głową. - Prawie padam ze zmęczenia.

Prześpię się na tej kanapie, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Spostrzegł jej zdumienie. Jednak miał swoje powody, żeby zostać.

- Zaraz przyniosę poduszkę i koc. - Wybiegła z pokoju, żeby ukryć skrepowanie.

- Mari - powiedział łagodnie, gdy wróciła z pościelą - nie masz powodu do zakłopotania. Nie zrobiłaś nic złego.

Westchnęła ciężko.

- No właśnie - odparła z rozpaczą w głosie. - Zupełnie nie wiem, jak powinnam się zachować.

- Naprawdę nie masz żadnego seksualnego doświadczenia? - upewnił się Patrick.

- Tylko z Warrenem G. Hardingiem. Ale on bardziej interesował się moimi kolanami niż czymkolwiek innym.

Wielkim wysiłkiem woli Patrick powstrzymał się od śmiechu.

- Z prezydentem Warrenem G. Hardingiem? \* Na to jesteś stanowczo za młoda, złotko.

\* Warren Gamaliel Harding - 29. prezydent USA, od roku 1921 do 1923.

Mari uśmiechnęła się nieśmiało i pokręciła głową.

- Z nauczycielem muzyki. Był moim jedynym kochankiem. Ale to, co ze mną zrobił, nie podobało mi się ani trochę. Nigdy nie czułam tego, co wtedy, gdy ty mnie dotykałeś - wyznała, zapłoniona.

- Widzisz? To nie ty zawiniłaś, tylko ten Warren G. Harding okazał się kiepskim kochankiem. Swoją drogą, ty jesteś z zupełnie innej gliny. Masz wrodzony, naturalny talent do uprawiania miłości.

- Ja??? - zdumiała się Mari.

- Tak, ty.

- Chcesz powiedzieć, że w porównaniu z innymi kobietami nie wypadam jak ostatnia ofiara losu?

- Pod żadnym względem! Nie znasz się na tym za bardzo. Ale może to i lepiej. Zdaj się na instynkt, na własne odczucia. Bo, wierz lub nie, mało która kobieta



to potrafi.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Teraz zamierzam przespać się trochę. Tobie radzę zrobić to samo.

Kiwnęła głową. Ruszyła do sypialni, lecz w drzwiach odwróciła się jeszcze.

- Czy myślisz, Patricku, że kiedyś moglibyśmy zrobić więcej niż dziś?

- Masz na myśli pójście na całość?

Mari skinęła głową.

Nigdy jeszcze żadna kobieta nie sformułowała tego w taki sposób. Poczł przyjemne ciepło na sercu.

- W normalnych okolicznościach wziąłbym cię po takim zaproszeniu natychmiast. Ale dzisiaj jestem wyjątkowo wyczerpany. Prześpij się, złotko.

Właściwie nie odpowiedział mi na pytanie, pomyślała Mari, znikając w sypialni. Lecz możliwość pójścia z Patrickiem Keeganem na całość była dla niej najbardziej podniecającą wizją w jej życiu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cztery godziny później natarczywy dzwonek telefonu wyrwał Mari z głębokiego snu. Szybko podniosła słuchawkę. Z góry wiedziała, kto może telefonować do niej o drugiej w nocy.

To była Mariette. Znów wpadła w tarapaty. Tym razem w odległym o sto kilometrów Masonfield.

- Zupełnie nie wiem, jak to się stało. - Mariette niemal płakała do słuchawki. - Pamiętam tylko, że ten gliniarz przewrócił mnie na ziemię i znalazłam się na komisariacie za nie zapłacone mandaty. Musisz wyciągnąć mnie stąd, Mari.

- A co z Harmonem?

- On nie ma ani grosza. - Mariette westchnęła żałośnie. - Oboje jesteśmy w trakcie szukania pracy.

Mari potarła czoło. Czuła rodzący się właśnie ból głowy.

- Ile pieniędzy potrzebujesz na kaucję i inne rzeczy? - spytała z rezygnacją.

Aż stęknęła, gdy usłyszała kwotę. Tyle wynosiły wszystkie jej oszczędności, które odkładała na wakacje. Nie miało to być nic wielkiego. Chciała pojechać do Indianapolis. A odkąd stała się nową, atrakcyjną Mari, myślała o wynajęciu domku myśliwskiego w Wisconsin. Żegnajcie, marzenia!

- Przyjadę tak szybko, jak tylko będę mogła - obiecała.

Ubrała się po ciemku i na paluszkach przeszła przez salon.

Patrick spał głęboko. Na szczęście, pomyślała. A swoją drogą, co za ironia losu. Po raz pierwszy w życiu w jej mieszkaniu śpi przystojny mężczyzna. A ona wymyka się chyłkiem, żeby ratować siostrę.

W kuchni sięgnęła do najniższej szuflady. Pod stosem serwetek leżały ukryte pieniądze. Włożyła je do torebki, rzuciła ostatnie, tęskne spojrzenie na Patricka i wyszła z domu.

Przez całą drogę układała sobie w myślach przemowę, którą zamierzała wy-

głosić do Mariette. „Nie mogę stale wykupywać cię z aresztu. Od dziś sama będziesz ponosić odpowiedzialność za własne błędy”.

Przed wejściem do komisariatu stał Harmon. Pólnagi, z kolczykiem w jednej sutce. Mari dała mu pieniądze i usiadła na ławce w korytarzu. Oparła się o chłodną ścianę i zamknęła oczy. Któryż to już raz przeżywała podobną scenę? Czekwała już tak na Mariette przed drzwiami dyrektora szkoły i przed prawie każdym więzieniem czy aresztem w okolicy.

Ciężkie drzwi zaskrzypiały nagle. Mari otworzyła oczy i oniemiała. Zobaczyła Mariette. Siostra miała na sobie buty na wysokich obcasach i męski podkoszulek. Na pewno była bez stanika. Przez moment Mari pomyślała, że majtek jej siostra też nie włożyła. Zaś wokół szyi owinięte miała idiotyczne, tandetne boa, z którego przy każdym jej kroku wypadały różowe piórka.

- Uratowałaś mi życie! - jak zwykle w takich sytuacjach wykrzyknęła z emfazą Mariette i chwyciła siostrę w objęcia. - Boże! Zamknęli mnie w celi z dziwką.

- Skoro już o dziwkach mowa... - Mari wyrwała się jej z objęć i wypłuła strzępki piór. - Co ty tu robisz w takim stroju?

Mariette uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- W zeszłym tygodniu zostaliśmy z Harmonem bez forsy, więc podjęłam tymczasową pracę. Tańczę w klubie.

- W jakim klubie? - Mari wysoko uniosła brwi ze zdziwienia.

- Uspokój się. To całkowicie legalny interes. Tak mi powiedział właściciel. I wcale nie tańczę goła. Mam majteczki, sznurkowy staniczek i to boa.

- To faktycznie jesteś skromnie ubrana - mruknęła Mari z przekąsem.

- Daj spokój! Dostaję spore napiwki. Dziś wieczorem jeden z gości uprzedził mnie, że będzie nalot, bo na zapleczu miały miejsce jakieś nielegalne gry hazardowe. Prysnęliśmy więc z Harmonem jego motocyklem.

- To dlatego masz na sobie jego podkoszulek, tak?

- Właśnie. Nie ujechaliśmy daleko, a przyczepił się do mnie jakiś gliniarz.

Zatrzymał mnie za obrazę moralności czy coś takiego. No i wtedy dogrzebali się tych nie zapłaconych mandatów. Skonfiskowali też motocykl.

- No cóż. Wierzę, że żyje ci się z Harmonem szczęśliwie - powiedziała Mari i odwróciła się w stronę wyjścia.

- Mari! Zaczekaj! Dokąd idziesz?

- Do domu. Może nawet zrobię sobie drinka, kiedy tam dojadę. Już nie jestem tą samą Mari Lamott, którą znałaś.

- Przecież od mojego wyjazdu minęło dopiero kilka tygodni.

- Wiele może zdarzyć się w ciągu kilku tygodni - zauważyła Mari. - Zapewniam cię, że jestem już zupełnie inną kobietą. - Zrobiła krok ku drzwiom. Zatrzymała się i westchnęła. - No, dobrze. Podwożę cię i Harmona, gdziekolwiek teraz mieszkanie. Ale potem jadę do domu. A ty już nigdy nie dzwoń do mnie, gdy wpadniesz w tarapaty. Zrozumiałaś?

- Oczywiście, Mari - odparła Mariette. Poklepała siostrę po ramieniu i rozsyłała wokół siebie kilka kolejnych piórek. - Nie ma sprawy.

Była już prawie szósta rano, gdy Mari dotarła do domu. Skrupulatnie starała się zaparkować auto dokładnie w tym samym miejscu, w którym stało wieczorem. Strzepnęła z ubrania ostatnie różowe piórka i najciszej, jak umiała weszła do domu, zabierając po drodze leżącą przed drzwiami gazetę.

Bezszelestnie dotarła na górę. W bladym świetle poranka dostrzegła sylwetkę Patricka. Zrobiła jeszcze jeden ostrożny krok i coś chwyciło ją za kostkę. Krzyknęła. Ze strachu i wściekłości. Tymczasem rozbawiony kot skoczył wysoko, odbił się od oparcia kanapy i wylądował wprost na brzuchu Patricka.

Przerażona Mari patrzyła, jak Patrick siada na kanapie. Mamrotał przy tym pod nosem coś niezrozumiałego. Oraz, jak jej się wydawało, chyba niecenzuralnego. Rex wbił w niego niewinne spojrzenie i miauknął cicho. Patrick zaklął znowu. Tym razem znacznie głośniej. Mari z cichym jękiem ruszyła w pogoń za kotem. Na próżno się trudziła.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Rankami jest strasznie płochliwy.

- Rankami? - wymamrotał. - Myślałem, że jest jeszcze środek nocy. - Zamru-  
gał nieprzytomnie powiekami. - Co ty tu robisz o tak wczesnej porze?

- Zeszłam po gazetę. Zwykle nie mogę doczekać się komiksu w niedzielnym  
numerze.

- Taka z ciebie szalona miłośniczka „Blondie”?

- „Cathy”. - Przystąpiła z nogi na nogę. - Powinieneś chyba jeszcze trochę  
pospać. Przepraszam za Reksa.

- Już i tak nie usnę. - Ziewnął przeciągle. - Masz może trochę kawy?

- Właśnie miałam ją zaparzyć. - Zamierzała pójść do łóżka.

Niecałe cztery godziny snu, misja ratunkowa w środku nocy i historia z Rek-  
sem sprawiły, że już ledwie stała na nogach. W kawie ostatnia nadzieja, pomyślała.

Pół godziny później usnęła u boku Patricka. Siedziała na kanapie po turecku,  
a głowa opadła jej na oparcie. Patrick ułożył ją wygodniej. Pod głowę wsunął po-  
duszkę, na której sam przespał noc. Poczul się głodny. Na szczęście przypomniał  
sobie, że widział niedaleko cukiernię.

Kiedy znalazł się przed domem, spostrzegł, że samochód Mari nie stoi w tym  
samym miejscu, w którym widział go ostatnio. Podszedł, zaciekawiony. Drzwi były  
zamknięte. Nie słyszał dotąd, żeby złodziej odstawił auto na miejsce i zamknął  
drzwi. Lecz coś było nie tak. Obszedł auto, zaglądając do środka.

Zauważył leżące na siedzeniu różowe piórka. Kręcąc głową, wolno ruszył  
przed siebie.

Mari z trudem otwarła oczy. Przez moment nie mogła pojąć, dlaczego leży na  
kanapie. Nagle zrozumiała, że po prostu padła ze zmęczenia i zasnęła. Zerwała się  
na równe nogi.

Patrick siedział w fotelu i wpatrywał się w ekran telewizora. Dźwięk był wy-  
łączony. Oglądanie zawodów golfowych w takich warunkach wymagało skupienia  
uwagi.

- Fantastyczne uderzenie! - zawołał, nie odwracając głowy.

- Jak długo spałam? - spytała.

Usiłowała równocześnie rozczesać palcami włosy i odczytać na zegarze godzinę.

- Jakies pięć godzin - odparł obojętnie. - Chyba nie spałaś tej nocy zbyt dobrze.

- Długo nie mogłam zasnąć. Chyba wypiałam za dużo napoju wzmacniającego.

- Stała, nerwowo zaciskając dłonie. - Możesz już włączyć dźwięk, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję. - Pokręcił głową. - Nie cierpię komentatorów sportowych.

Zawsze w końcu zaczynam kłócić się z nimi.

- Spierasz się z telewizorem?

- Taak. Na stole są pączki. Poczęstuj się.

Mari wygłosiła kilka uwag na temat tłuszczu w pączkach i zanurzyła rękę w torbie. Miała dziwne wrażenie, że Patrick coś przed nią ukrywa. I że miało to jakiś związek z tym, że spała tak smacznie przez pięć godzin.

- Musiałam być potwornie zmęczona - powiedziała z wahaniem.

- Kwestowanie na fundusz biblioteczny każdego może wykończyć. - Patrick nie wyglądał na zupełnie przekonanego.

- Zapomniałam wczoraj o codziennej porcji witaminy - dodała. - To na pewno dlatego.

- Zapewne tak - mruknął.

Wciąż czuła, że jej nie wierzy.

Patrick był pewien, że Mari coś przed nim ukrywa. Tylko co? Wiedział jedynie, że samochód był używany i że na jego fotelach pojawiły się różowe piórka. To stanowczo zbyt mało, by móc wysnuć jakieś wnioski. Nadal jednak aktualna pozostawała sprawa pieniędzy dla biblioteki. Gdy Mari spała, upewnił się, że wciąż leżą nietknięte.

- Babcia Davy'ego czeka na mnie z lunchem - odezwała się Mari. - Chyba

powinnam pójść do sypialni, żeby się przebrać.

- Idę z tobą.

- Naprawdę?! - Po chwili dopiero zrozumiała, że Patrick wybiera się z nią do babci Davy'ego, a nie do sypialni. - Och! Wcale nie musisz.

- Wiem. Ale powinienem porozmawiać z babcią Davy'ego... o jego uderzeniu.

- O jego uderzeniu? - powtórzyła Mari.

Patrick chrząknął nerwowo.

- Chcę bardziej zaangażować rodziny chłopców w sprawy drużyny.

- Ale z ciebie kłamczuch. - Pokręciła głową. - Naprawdę myślałeś, że w to uwierzę?

- A dlaczego nie? - oburzył się.

Bo w końcu z nich dwojga to nie jemu bardziej należał się tytuł superłgarza.

- Ponieważ wiem, o co ci chodzi.

- Naprawdę? - Przez chwilę pomyślał, że jakimś cudem Mari odkryła, iż on jest policjantem.

- Oczywiście. Wciąż boisz się, że powiem coś niewłaściwego i wyda się, że nie jesteś policjantem, tylko masażystą.

- Fizjoterapeutą.

- Właśnie. Widzisz? Nawet w kwestii nazwy twojej profesji reagujesz strasznie nerwowo. To oczywiste, że masz problemy z własnym wizerunkiem. Przeżywasz kryzys osobowości.

- To naprawdę jest takie oczywiste? - Z trudem ukrywał rozbawienie.

Mari energicznie pokiwała głową.

- A przecież fizjoterapeuta brzmi - jak mawiają dzieciaki - odlatowo. Naprawdę nie musisz wstydzić się tego, co robisz. Powinniśmy trochę nad tobą popracować.

Nie wytrzymał. Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Przepraszam - opamiętał się po chwili. - Ale jeszcze nikt nie zaproponował



mi pracy nad poprawą mojego wizerunku.

- Nie wątpię - przyznała. - Na co dzień zachowujesz się tak, jakbyś cierpiał na przerost pewności siebie. Ale to tylko maska. Ludzie często pozują na całkiem innych, niż są w rzeczywistości. Każdy psycholog ci to powie.

- Poważnie? - Była tak uroczo zabawna. - Czy dotyczy to również zachowań seksualnych?

- Słucham? - Mari wpatrywała się weń, gryząc wargę.

- Co z tymi mężczyznami, którzy nieustannie uwodzą kobiety? Co o nich mówią psychologowie?

- No cóż - zaczęła ostrożnie - to może świadczyć o tym, że nie są pewni swojej męskości.

Patrick zrobił smutną minę, jakby ogarnęła go troska o los mężczyzn.

- Albo - kontynuowała z wahaniem - może to oznaczać, że uważają, iż kobiety są bardzo pociągające.

- No proszę! - Patrick z powagą pokiwał głową.

- Nie chcesz chyba powiedzieć - Mari zmarszczyła brwi - że zamierzasz uwieść mnie?

- Ależ, kochanie, sądziłem, że prowadzimy tylko hipotetyczne, akademickie rozważania na temat mojej osobowości.

- Nieprawda! Skończ udawanie niewiniątka. Przestało to na mnie działać, od kiedy skończyłam dwanaście lat. Rozmawiamy o uwodzeniu mnie, czy nie?

Zorientował się, że Mari wpatruje się w niego z niezwykłym natężeniem.

- Noo, nie jestem pewien... - Udawał, że się zastanawia.

- Być może coś takiego drzemie gdzieś w mojej podświadomości. Masowałem ostatnio tyle kobiet...

- A zatem myślałeś o uwiedzeniu kogoś, ale nie jesteś pewien, kogo?

- Możliwe - odrzekł.

- Chyba jednak to sprawa twojej niskiej samooceny. Nie potrafisz uwieść

konkretnej kobiety z obawy przed porażką.

- Czy to pewne? - Przywołał na twarz zatroskaną minę.

- Myślę, że po prostu trzeba dać sobie z tym spokój.

Mari miała tak zawiedzioną minę, że Patrick z trudem zdołał zachować powagę.

- Ale z drugiej strony - mruknął, trąc policzek - może mógłbym popracować trochę nad własnym poczuciem wartości. Może powinienem zająć się kwestią uwodzenia kobiet. Teoretycznie, oczywiście.

- Oczywiście - bąknęła Mari, całkowicie rozczarowana i strapiona.

Odczekał jeszcze kilka sekund i powiedział:

- Jeżeli to sprawa mojej podświadomości, to może powinienem postępować zgodnie z jej wskazaniem. Rozumiesz, otworzyć się, wyzwolić ukryte w niej myśli. Zdobyć trochę doświadczenia.

- To brzmi rozsądnie.

- Będę, oczywiście, potrzebował kogoś, na kim będę mógł ćwiczyć. Kobiety.

Pokiwała głową. Znow nadzieja zabłysła w jej oczach.

- Nie sądzisz, że powinna to być kobieta niezbyt doświadczona? - spytała. - Żeby nie zdołała stłumić twojej osobowości.

Już dłużej nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Może taka, która nie była z mężczyzną od spotkania z Warrenem G. Hardingiem?

- Naprawdę? - ucieszyła się. - Będziesz mnie uwodził? Teraz?

Patrick wybuchnął gromkim śmiechem.

- Nie można porządnie uwodzić tak na łąpu-capu. A poza tym musimy przecież jechać do babci Davy'ego.

Choć rozczarowana, pokiwała głową. Ruszyła do sypialni, lecz zatrzymała się w drzwiach.

- Ale w kwestii tego uwodzenia - zaczęła niepewnie. - Masz, choć z grubsza,

pogląd, kiedy to nastąpi?

- Nie można zostać uwiedzioną na zamówienie. - Niepokojące ogniki rozbłysły mu w oczach. - To by odebrało ci całą przyjemność. Musisz po prostu czekać.

Wyszła. A on zamyślił się. Całą rozmowę o uwiedzeniu rozpoczął jako żart. Nie miał w zwyczaju dobierać się do kobiet, które znał tak krótko. Zwłaszcza zaś takich, które żyły na bakier z prawem.

Tymczasem całkiem poważnie myślał o uwiedzeniu Mari Lamott. Była tak słodka i powabna. Tak podniecająca.

Każde spojrzenie wielkich, brązowych oczu poruszało go do głębi.

Babcia Davy'ego miała na imię Thelma. Mieszkała w niewielkim mieszkanku na przedmieściu. Na lunch zaprosiła jeszcze dwie sąsiadki, Lucille i Opal. Wszystkie razem wylewnie dziękowały Mari za ciasteczka. Potem ofiarowały po pięć dolarów na fundusz biblioteczny i poprosiły Patricka i Mari, żeby usiedli z nimi przy stole w kuchni. Było tam tak ciasno, że Patrick dotykał ramienia i uda Mari.

Mari znowu ubrała się tak, jak powinna być ubrana wróżka. Przetrzęsła szafę Mariette i znalazła parę jasnobłękitnych legginsów i tego samego koloru szeroką, zwiewną bluzeczkę. W uszy wpięła wielkie, srebrne kółka. Nałożyła niebieski cień na powieki, pokryła rzęsy tuszem, usta umalowała jaskraworóżową szminką. Wyglądała naprawdę fascynująco.

Mari pochwaliła smakowite jedzenie i zadała kilka pytań o Davy'ego. To wystarczyło, by Thelma, z prawdziwą dumą w głosie, zaczęła snuć jedną opowieść po drugiej.

- Taka jestem podniecona tym, że zaraz nam powrózysz - powiedziała Thelma, kładąc następną porcję przysmaków na talerz Mari. - Lucille, Opal i ja każdego tygodnia tracimy po parę dolarów na loterii. Gdyby, przypadkiem, udało ci się przewidzieć jakieś numery, bardzo by to nam pomogło.

Mari uśmiechnęła się słabo.

- Typowanie wylosowanych numerów loteryjnych nie jest moją specjalnością

- odparła ostrożnie. - Nie zniosłabym myśli, że postawiły panie pieniądze na numery, które ja wskazałam.

- Ależ, moja droga, zupełnie nie ma się czym martwić - zawołała Thelma. - Przez loterię nie tracimy dużo. Prawdziwe emocje zostawiamy sobie na bakarata.

Jeśli Thelma sądziła, że w ten sposób uspokoi Mari, myliła się bardzo.

- Nie chce pani chyba, żebym przepowiedziała wam układ kart, prawda?

- Ależ skąd! - odparła Thelma. Lucille i Opal kiwały głowami po każdym jej słowie. Widać było, że występowała w imieniu całej trójki. - Chociaż chyba nie powinnam zdradzać, gdzie grywamy, żeby nas ten detektyw nie przyłapał. - Thelma mrugnęła porozumiewawczo.

Mari spojrzała na Patricka znacząco. Ten zaś uśmiechnął się niewinnie.

- Napijesz się jeszcze herbaty, moja droga, zanim zaczniemy? - spytała Thelma z troską w głosie.

Jednak Mari chciała mieć już to tak zwane wróżenie za sobą.

- Myślę, że możemy zacząć do razu - odparła.

- Cudownie! - krzyknęła Thelma. - Dokąd chcesz pójść?

Do domu, pomyślała Mari.

- Ten stół będzie świetny.

Patrick i Mari pomogli pozbierać naczynia i Mari wyjęła talię kart do tarota. Znalazła ją w szafce Mariette, kiedy szukała bluzki.

Rzuciła ponure spojrzenie na stojącego w kącie przy zlewie Patricka i podała Thelmie karty do przełożenia. Potem zaczęła wykładać karty przed kobietami. Zupełnie jakby miały grać w pokera, pomyślał Patrick i schylił głowę, żeby ukryć uśmiech. Aż miło było patrzeć na nieporadność Mari.

- Zamierzamy pojechać w przyszłym miesiącu do Las Vegas - powiedziała Thelma. - Czy mamy postawić dużo pieniędzy w kasynie?

Mari odwróciła jedną z leżących przed Thelmą kart.

- Powinna pani postępować bardzo rozważnie we wszystkich sprawach fi-

nansowych - oświadczyła. - Nie stawiać więcej ponad miarę. I możliwości.

Thelma skrzywiła się, zawiedziona.

- Czy ta powściągliwość dotyczy wszystkiego? - spytała.

Mari skinęła głową.

- Zwłaszcza napojów alkoholowych i zakąsek - dodała.

Za plecami usłyszała dziwne dźwięki, jakby ktoś się dusił.

Kiedy jednak odwróciła głowę, Patrick nalewał wodę do szklanki.

Pierwsza karta odkryta przed Lucille przedstawiała wędrowca idącego między dwoma szeregami złotych kielichów.

- Wygląda na to, że przynajmniej Lucille będzie mogła się napić podczas naszej wycieczki - zauważyła Thelma.

- Nie sądzę - rzeka Mari. - Kielichy są puste.

- To może oznaczać, że wypła już wszystko - dodała Thelma.

Patrick chyba znowu się dusił. Ale kiedy Mari odwróciła głowę, ponownie napełniał szklankę wodą.

- Gdybym była na waszym miejscu - ciągnęła Mari - bardzo uważałabym z trunkami w Las Vegas. Może nawet powinnycie w ogóle z nich zrezygnować.

- Zobaczmy lepiej, co powiedzą pozostałe karty - niecierpliwiła się Thelma.

Karta Opal przedstawiała Koło Fortuny. Thelma aż podskoczyła z emocji.

- Czy to nie oznacza, że powinnycie grać w ruletkę? - krzyknęła.

- Intuicja podpowiada mi, że powinnycie raczej zostać w pokoju i obejrzeć telewizję. - Słowa Mari bardzo zasmuciły wszystkie trzy panie.

Dalsze wróżenie przebiegało w podobnym stylu. Każda odkryta karta stanowiła w interpretacji Mari ostrzeżenie. Przed hazardem, alkoholem, gęstym tłumem, czy - w tym momencie Patrick omal nie zadławił się na śmierć - pokazami tańców topless. Kiedy wszystkie karty zostały już odkryte, Thelma popatrzyła na Mari podejrzliwie.

- Wiesz, moja droga, chwilami odnoszę wrażenie, że jesteś przeciwniczką

każdego, kto lubi zabawić się trochę - stwierdziła.

- Ależ nic podobnego! - zachnęła się Mari. - Uważam jedynie, że należy być ostrożnym. Szczególnie gdy chodzi o pieniądze.

- Wiesz, co ci powiem? - odezwała się Thelma. - Polecimy do Las Vegas, będziemy uważać i unikać golizny, ale - wymierzyła palec w Mari - nie ma takiej siły, która mogłaby powstrzymać mnie przed postawieniem piątką na czerwone w ruletce.

- A ja na pewno nie odmówię sobie szklaneczki whisky - wtrąciła się niespodziewanie Opal. - Naprawdę przepadam za tym podczas naszych wycieczek.

- Po prostu bawcie się dobrze - odrzekła z uśmiechem Mari, składając karty. Była szczęśliwa, że ma już wróżenie za sobą.

Kątem oka dostrzegła porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymieniły trzy starsze panie. Opal szturchnęła Lucille, a ta zakasłała i wbiła wzrok w Thelmę.

Ta zaś nabrała głęboko powietrza w płuca i spytała:

- Czy to nie kocięta tak piszczą?

Thelma wyszła. Po chwili wróciła, niosąc w pudełku po butach trzy maleńkie kotki. Dwa białe i jednego szarego.

- Cóż to byłby za wstyd kazać dozorczy wyrzucić je na śmietnik - powiedziała.

- Wyrzucić na śmietnik? - zawołała Mari, przerażona.

- W tym budynku nie wolno trzymać zwierząt, kochanie - wyjaśniła Thelma. - Ktoś musi je stąd usunąć. Opal znalazła je w rynsztoku. Piszczwały tak żałośnie. I są takie słodkie, prawda? Ale prawo jest prawem.

- Ale przecież... nie można ich tak, po prostu, wyrzucić - zaprotestowała Mari.

- Obawiam się, że administrator będzie nieugięty - zmartwiła się Thelma. - Aż słabo mi się robi na myśl, że zostaną zabite. Ale co możemy zrobić? Nie wolno nam ich tu zatrzymać.

Zapadła długa, męcząca cisza. Wreszcie Mari westchnęła ciężko.

- Chyba mogłabym zabrać je i spróbować znaleźć im domy - powiedziała

zrezygnowana.

- To cudownie! - wykrzyknęła radośnie Thelma. - A teraz co powiecie na kawałek ciasta?

Mari spojrzała na Patricka, a ten wznosił oczy ku niebu. Jechali do domu w milczeniu. Pudełko z kociakami stało na tylnym siedzeniu samochodu.

- Wiem, że, twoim zdaniem, zwariowałam - odezwała się w końcu Mari - ale przecież nie mogłam pozwolić, żeby dozorca zrobił krzywdę tym kociętom.

Patrick tylko potrząsnął z niedowierzaniem głową. Mari była najżałośniejszą przedstawicielką klanu oszustów, jaką kiedykolwiek spotkał. Na jego oczach trzy staruszki wcisnęły jej niechciane koty. I jeszcze to tak zwane wróżenie. Zamiast podać swoim klientkom jakiegokolwiek numery do obstawiania, przestrzegała je przed hazardem, piciem i w ogóle przed dobrą zabawą.

Była jedyną znaną mu oszustką z tak wyraźnie zarysowanym kodeksem etycznym.

- Nic nie mówisz - odezwała się Mari.

- Zastanawiam się, czy powinienem udusić cię teraz, czy trochę później.

- Czy to znaczy, że nie masz zamiaru mnie uwieść?

- Nie, dopóki nie umieścisz gdzieś tych maluchów. Jeden ciekawski kot wystarczy mi rozprasza.

Uśmiechnęła się.

- Może mógłbyś oddać je do YMCA?

Patrick popatrzył na nią bez słowa.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tę noc Patrick spędził w samochodzie przed sklepem Mari. Zaparkował w oddali, by nie mogła go zobaczyć, ale na tyle blisko, żeby mógł zauważyć, jak wychodzi.

Nie ruszyła się z domu na krok. Kiedy przyszedł rano, zastukał do jej drzwi. Zamierzał zabrać ją na kawę, a potem zawieźć do biblioteki. Z pieniędzmi.

W bibliotece przeżył zaskoczenie. Młody chłopak, który tam pracował, znał Mari, i to bardzo dobrze. Dziękował jej za pieniądze tak szczerze i gorliwie, że otrzymał w zamian uśmiech. W drodze powrotnej Mari powiedziała Patrickowi, że udziela chłopakowi lekcji gry na fortepianie. Nie do wiary!

W końcu Patrick doszedł do wniosku, że stał się o nią zazdrosny. Ostatecznie obiecał przecież, że ją uwiedzie. A ona uśmiechała się zachęcająco i pozwalała, by jakiś chłopaczyna robił do niej słodkie oczy. W jego obecności!

Powiedział jej to wszystko przy kawie, czym wprowadził Mari w niebywałe osłupienie.

- Przecież tylko uśmiechnął się do mnie - stwierdziła. - Trudno to chyba nazwać zaproszeniem do łóżka.

- Ale właśnie dokładnie to ten chłopak miał na myśli.

- Naprawdę? - Mari nie była przekonana.

- Rzecz w tym, że kiedy zamierzam uwieść dziewczynę, chcę, żeby była skoncentrowana na mnie. Tylko na mnie.

Mari zagryzła wargę.

- Czy ma to związek z twoim przypadkiem niskiej samooceny, czy też dotyczy wszystkich mężczyzn w ogóle?

- Staram się tylko przedstawić ci główne zarysy problemu - wyjaśnił.

- Czy tak postępują wszystkie kobiety? - pytała dalej. - Ograniczają swoje zainteresowania tylko do jednego mężczyzny?

- Zwykle ograniczają się do jednego w danym momencie.

- Rozumiem. - Mari uśmiechnęła się szelmowsko. - Postaram się zapamiętać, żeby uśmiechać się zachęcająco tylko do jednego mężczyzny w danym momencie.

- Potrafię to docenić - warknął, zirytowany.

Zastanawiał się, czy dźwięki dobiegające zza chusteczki, którą trzymała przy ustach, nie były chichotem. Wy tłumaczył sobie jednak, że Mari po prostu tak de nerwowała się perspektywą bycia uwodzoną.

Zostawił ją i pojechał do pracy. Po ostatnich nocach spędzonych w samochodzie przed jej domem wprost padał ze zmęczenia. Lecz już pierwszy telefon, który odebrał, podniósł mu ciśnienie i przywrócił do życia.

- Pan Keegan? - spytał męski głos. - Mówi sierżant Del Stanley z policji w Masonfield. W ubiegłym tygodniu rozmawialiśmy na temat oskarżeń dotyczących Mariette Lamott.

- Co pan ma dla mnie, sierżancie? - spytał gorączkowo Patrick.

- Pomyślałem tylko, że chciałby pan wiedzieć, iż panna Lamott została aresztowana w sobotę w nocy.

- Co?!!

- Otóż to. Została zatrzymana za obrazę moralności. A kiedy porucznik sprawdził ją dokładnie, okazało się, że jest poszukiwana za nie zapłacone mandaty. No i zamknął ją.

- Za obrazę moralności? - spytał Patrick słabym głosem.

- Zdaje się, że zgarnęli ją, kiedy wymykała się z klubu, gdzie pracowała jako kelnerka i tańczyła... bardzo skąpo ubrana.

- O której to było godzinie? - Patrick nerwowo przeczesał palcami włosy. Mari na pewno nie mogła pojechać do Masonfield i dać się wsadzić do paki, kiedy on spał. Na pewno.

- W raporcie zapisano, że zatrzymano ją o drugiej w nocy.

Patrick jęknął głucho.

- Coś jeszcze panu powiem! - Sierżant wybuchnął śmiechem. - Kiedy rano woźny poszedł sprzątać celę, omal nie padł z wrażenia. Wszędzie pełno tam było różowych piórek.

- Różowych piórek? - stęknął Patrick grobowym głosem.

- Tak. Ciągle jeszcze znajduję je wśród dokumentów.

- Niech mi pan powie - poprosił Patrick - kto wpłacił za nią kaucję?

- Jakiś Harmon - odparł sierżant. - Nie mam dokumentów przed sobą. Prawdopodobnie typek z tamtego klubu. Mam nadzieję, że pomogłem panu?

- O, tak! Bardzo. - Patrick odłożył słuchawkę i zastygł bez ruchu, z filiżanką kawy w dłoni.

Musiał pogodzić się z myślą, że ma do czynienia z wyjątkowo szcwaną oszustką. Wymknęła mu się tuż sprzed nosa, w środku nocy, i sto kilometrów dalej narobiła sobie kłopotów. Nic dziwnego, że rano była taka wyczerpana.

Ciekawe, czy w każdy weekend występowała w „klubie” w Masonfield? - pomyślał. Jeśli nawet, czas już z tym skończyć. Trzeba przyspieszyć proces resocjalizacji panny Mari Lamott. Albo zerwie z dotychczasowym życiem, albo będzie musiała ponieść konsekwencje.

Usiłował wyobrazić sobie jej minę, kiedy dowie się, że jest policjantem. Lecz jedyny obraz, jaki cisnął się mu przed oczy, przedstawiał powabną Mari przyodzianą w różowe pióra.

Walnął pięścią w stół tak mocno, że część kawy wylała się z kubka i ochlapała dokumenty.

Kolejną noc Patrick spędził w samochodzie przed domem Mari. Następną także. Nic się jednak nie zdarzyło. Pił ciepłą wodę mineralną oraz zimną kawę i gapił się w jej okna. Próbował wyobrażać sobie, co robi.

Trud w końcu się opłacił! W środę wieczorem Mari wyszła z domu i wsiadła do samochodu. Patrick dyskretnie podążył za nią. Myślał o tym, że być może znów jedzie do Masonfield, żeby tańczyć tam na stołach, i aż do bólu ścisnął kierownicę.

Tymczasem Mari skręciła w stronę domu starców. Tego samego, w którym była w poprzednią środę. Weszła do środka, niosąc jakieś papiery. Patrick odczekał dziesięć minut i ruszył jej śladem.

Recepcjonistka uniosła głowę i uśmiechnęła się uprzejmie.

- Mogę panu w czymś pomóc? - spytała.

- Szukam niewysokiej brunetki, która weszła tu jakieś dziesięć minut temu.

- Och, na pewno chodzi panu o Mari. Jest w świetlicy. - Wskazała mu drogę i patrzyła za nim z nie ukrywanym zainteresowaniem.

Najpierw Patrick usłyszał dźwięki fortepianu. Ktoś grał stary ragtime. Pomyślał, że muzyka dobiega z radia albo z płyty. W drzwiach świetlicy zastygł jak głąz. To grała Mari. Na widok Patricka jej oczy rozszerzyły się zdumieniem. Przygryzła wargę, lecz nie przestała grać.

Patrick przypomniał sobie, że mówiła mu kiedyś, iż grywa na fortepianie, skrzypcach i na cytrze, gdy ten instrument nie jest w naprawie. Spodziewał się wtedy, że ma raczej poważny repertuar. Teraz oczyma wyobraźni ujrzał ją, jak wygrywa skoczne melodyjki stojąc w różowe pióra.

Rozejrzał się po sali. Blisko pięćdziesięcioro pensjonariuszy klaskało z entuzjazmem i kiwało się w rytm muzyki. W głębi sali jakaś starszuszka strofowała głośno swego sąsiada, żeby wyregulował sobie aparat słuchowy, bo klaszcze nierówno.

Mari skończyła grać i podeszła do Patricka. Była szczęśliwa i zakłopotana zarazem.

- Co ty tu robisz? - spytała.

W tym momencie oczy wszystkich zwróciły się w ich stronę.

- Czy on przyniósł moje pigułki? - zawołał ktoś.

Wtedy dopiero Patrick uświadomił sobie, iż tak był zaaferowany tropieniem Mari, że nawet nie przygotował sobie żadnej wymówki. To na pewno skutek niewyspania, uznał i zagapił się na zgrabną osóbkę w dżinsach i czerwonej koszulce.

Miło byłoby rozebrać ją z tych ciuszków, pomyślał.

- Robisz tutaj masaże? - spytała szeptem.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Przyjechałem tylko, żeby sprawdzić, czy byłoby to możliwe.

- Wieczorami wszystko jest tu pozamykane.

- Psiakrew! Chyba będę musiał przyjechać kiedy indziej. Ale skoro już tu jestem, może wybralibyśmy się dokądś razem, kiedy już skończysz?

- Chętnie. - Uśmiechnęła się.

- Zagraj „Strangers in the Night”! - zawołała jakaś kobieta.

Mari odnalazła nuty i zaczęła grać. Od czasu do czasu spoglądała na Patricka. Ten znalazł sobie w końcu wolne krzesło i usiadł.

Mari grała jeszcze ponad trzy kwadranse. Spełniała życzenia słuchaczy i zachęcała ich do wspólnego śpiewania. Na koniec weszła między krzesła i ścisnęła ich dłonie. Patrick zastanawiał się, czemu to robi. Przecież żaden z pensjonariuszy z pewnością nie miał pieniędzy. I chociaż z wolna przestawał wierzyć, że Mari zajmuje się oszukiwaniem starszków, to przecież nie mógł jeszcze poniechać jej resocjalizacji. Dla jej dobra.

- Po co tu przyjechałaś? - spytał ostrym tonem, kiedy tylko znaleźli się na podjeździe przed domem.

- Słucham? - spytała zdumiona.

- Wybacz mi to, co powiem, ale w tej świetlicy nie było właściwie nikogo, kto w pełni świadomie uczestniczyłby w zabawie. Czemu zatem miał służyć twój występ?

- Nie przyjechałam tutaj dla poklasku - odparła Mari. - Wszyscy ci ludzie mają kłopoty z pamięcią. Większość z nich z trudem utrzymuje jakikolwiek kontakt z rzeczywistością. Jedynie muzyka potrafi czasem poruszyć coś w ich mózgach. Są tu tacy, co od początku pobytu nie odezwali się ani słowem. Zareagowali dopiero wtedy, gdy usłyszeli starą melodię, znaną im z młodości. Zwróciłeś uwagę na ko-

bietę, obok której usiadłeś? Kiedy przywieziono ją tutaj, nie rozpoznawała nawet swojej rodziny. A tamten staruszek z aparatem słuchowym zaczął normalnie jeść. I wychodzić na spacer. - Mari wyrzuciła z siebie słowa prawie jednym tchem i nagle umilkła.

- Co się stało?

- Wcale nie chcesz tego słuchać - wyjaśniła cicho.

A przecież, ku swemu zdziwieniu, Patrick naprawdę chciał.

- Mógłbym słuchać o tych ludziach nawet przez całą noc - zapewnił - ale obiecałaś, że będziesz mi dziś towarzyszyć. Dokąd zatem jedziemy?

Mari przygryzła wargę. Powinna zajrzeć jeszcze do kościoła. Musiała zabrać nową listę Słonecznego Komitetu.

- Masz jakieś inne plany? - spytał Patrick.

- Niezupełnie. Ale muszę jeszcze wpaść gdzieś po drodze.

Po sobotnich wydarzeniach w Masonfield Patrick ani myślał spuścić ją z oczu.

- Pojadę za tobą - powiedział stanowczo.

Zawahała się, lecz nie miała innego wyjścia. Musiała pojechać do kościoła.

- Dobrze - odparła.

Przez całą drogę Patrick zastanawiał się gorączkowo, dokąd jada. Bał się, żeby nie znaleźli się gdzieś, gdzie ktoś mógłby go znać.

Jego obawy były płonne. Tu prawie na pewno nikt mnie nie zna, pomyślał, kiedy zatrzymali się przed kościołem. O co tu chodzi?

Mari z ponurą miną wysiadła z auta. Wcale nie chciała zabierać Patricka do kościoła. Nowoczesne kobiety raczej często tu nie bywają, pomyślała. Ale nie miała wyboru.

- Zaraz wrócę! - krzyknęła do Patricka.

Ten jednak już zamknął samochód i podążył w jej stronę. Zagryzła wargi i czekała w milczeniu.

- Co tu będziemy robić? - spytał.

- Muszę zabrać listę - wymamrotała.

- Jaką listę?

- Listę Słonecznego Komitetu - wydusiła z siebie i weszła do kościoła.

- Cześć, Mari! - powitała ją szefowa chóru, który właśnie skończył próbę. -

Co słyhać w domu starców? Chyba lepiej pójdę już do domu. - W tym momencie zauważyła Patricka.

- To jest pan Keegan, mój przyjaciel - przedstawiła go Mari.

Kobieta jednak już jej nie słuchała. Zniknęła za drzwiami.

- Wreszcie sami - powiedział Patrick. - Zawsze przyprowadzasz tutaj mężczyzn?

- Nigdy. - Mari westchnęła ciężko.

Prawie wbiegła do kancelarii i porwała ze stołu listę. Chciała wyjść równie szybko, lecz Patrick chwycił ją za ramię.

- Czemuż to, moja miła, próbujesz wybiec stąd, jakby ziemia paliła ci się pod stopami?

- Wydawało mi się, że nie czujesz się tutaj najlepiej. Nie jest to miejsce szczególnie ekscytujące.

- Naprawdę sądzisz, że tylko takie miejsca mnie interesują? - Zmarszczył brwi. - Usiądźmy na moment. - Wziął ją za rękę i poprowadził do stojących przy stole krzeseł. - Teraz powiedz mi, co to za listę stąd zabierasz? Opowiedz wszystko ze szczegółami. - Zabrzmiało to jak przesłuchanie, ale Patrick nie dbał o to. Chciał koniecznie otrzymać jasną odpowiedź.

Mari wbiła wzrok we własne buty.

- To jest lista Słonecznego Komitetu - odparła z rozpaczą w głosie.

- A co jest takiego strasznego w Słonecznym Komitecie? Chyba nie jest to organizacja terrorystyczna, prawda?

Popatrzyła na niego spłoszonym wzrokiem i uśmiechnęła się słabo.



- Nie. Choć, jeśli chodzi o panią Kurtz, to nie mam pewności. Strasznie się wścieka, gdy przegapimy czyjeś urodziny.

- To znaczy, że komitet zajmuje się wysyłaniem życzeń urodzinowych?

Mari skinęła głową.

- I w ogóle przekazywaniem życzeń wszelkiej pomyślności. - Zniżyła głos do szeptu, jakby zwierzała mu największą zbrodnię. - Ja jestem odpowiedzialna za leżących w szpitalu. Codziennie muszę dzwonić do kapelana, żeby dowiedzieć się, czy nie trafił tam któryś z członków komitetu.

Patrick zamyślił się. Mari była tak skruszona, że miał ochotę podrażnić się z nią jeszcze. Czuł jednak, że to mogło ją dobić. Poza tym znów gryzła wargę. Zapragnął wziąć ją w ramiona, a kościół nie był najlepszym miejscem dla realizacji takich pragnień.

- Wysyłanie do szpitala kwiatów i życzeń to dobry pomysł - powiedział łagodnie. - Wiesz, moja miła, bałem się już, że jesteś hersztem jakiejś bandy emerytów. Sama rozumiesz: bardzo dużo czasu spędzasz z ludźmi, którzy mogliby być twoimi dziadkami.

Spojrzał Mari w oczy i natychmiast wziął ją za rękę. Żeby ją pocieszyć.

- Chyba nie najlepiej czuję się wśród rówieśników - wyjaśniła. Już kiedyś mu to powiedziała. - Dorastałam wśród ludzi dużo starszych ode mnie.

- Gdzie to było, złotko? Na Florydzie?

- Nie. Tutaj. - Potrząsnęła głową. - Moja matka była alkoholiczką. Poza tym mieszkała z nami moja babcia. Przez cały czas musiałam zajmować się nimi. - Dyskretnie pominęła fakt istnienia siostry. I bez tego, jak sądziła, Patrick miał o niej wystarczająco złe zdanie.

To wiele wyjaśnia, pomyślał. Stąd może taka nieodparta potrzeba tańczenia półnago czy w ogóle łamania prawa. Zmuszano ją, żeby wydorosła, nim była na to przygotowana, więc teraz musi się wyszumieć. Byle tylko przestała, nim wyląduje w pudle, pomyślał.

- Uważasz, że jestem okropnie nudna, prawda? - Mari znów spuściła wzrok.

- Prawdę mówiąc, uważam, że jesteś najbardziej interesującą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem - odparł bardzo poważnym tonem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nigdy przedtem nie znałem kogoś, kto by pijał nektar wzmacniający, grywał staruszkom na fortepianie i należał do Słonecznego Komitetu. Intrygujesz mnie, złotko, coraz bardziej.

Mari westchnęła, słysząc tak wątpliwie pochlebstwo. Ale uspokoiła się trochę. Zagryzła wargę i uśmiechnęła się do Patricka.

- Czy to znaczy, że nadal chcesz mnie uwieść?

- W żaden sposób nie odwiedzisz mnie od tego zamiaru.

- Teraz? Tutaj? - Wyprostowała się na krześle, a jej twarz rozjaśniła nadzieja.

- No, cóż! Wydaje mi się, że warunki i otoczenie mogą mi to utrudnić. Mężczyznę, który uwodzi kobietę w kościele, może trafić grom z jasnego nieba. Albo spotka go coś jeszcze gorszego.

- Och! - W tym okrzyku brzmiało prawdziwe rozczarowanie. - To znaczy, że nie pojechałeś do domu starców, żeby mnie uwieść, tak?

- Kochanie! - Patrick parsknął śmiechem. - Nie przypuszczam, by tam mogło mi pójść choć trochę lepiej niż tutaj. W ogóle kręcisz się w miejscach, które zupełnie nie nadają się do uwodzenia, wiesz?

- To po co tam pojechałeś?

- No, trudno, wydało się! Chciałem cię zaprosić. - Oczy Mari rozbłyły nadzieją, więc dodał szybko: - Zapamiętaj sobie dokładnie, że naci z uwiedzenia, jeśli się go spodziewasz. Zapraszam cię na kolację.

- Co to będzie za kolacja?

- Mari! Kiedy mężczyzna zaprasza cię na kolację, powinnaś zachować się uprzejmie i przyjąć zaproszenie. A nie pytać, jakie będą potrawy.

- Jestem bardzo uprzejma i przyjmuję zaproszenie. - Teraz ona droczyła się z

nim. - Co to będzie za kolacja?

Patrick westchnął ostentacyjnie.

- Pytasz, co zamierzam z tobą zrobić? Chciałbym, żebyśmy zjedli kolację z jednym z moich przyjaciół. Ma na imię Fred i jest grafikiem. Chciałbym, żebyś go poznała.

Kiedyś Fred zajmował się kradzieżami samochodów oraz fałszowaniem dokumentów. Patrick chciał pokazać Mari, posługując się jego przykładem, że może ona jeszcze zmienić swoje życie. Przy jego, Patricka, pomocy.

- Zatem nie będziemy sami? - Nie zdołała ukryć rozczarowania.

Patrick ścisnął jej dłoń i obiecał, że Fred na pewno nie zostanie na noc.

- I zanim spytasz, czy t y zostaniesz na noc, odpowiem: poczekaj, a przekonasz się. Jak na potencjalną ofiarę uwiedzenia żądasz stanowczo zbyt wielu informacji.

- Zastanawiałam się tylko, czy muszę zabrać szczoteczkę do zębów. - Mari uśmiechnęła się szeroko.

- Mam zapasową. Ale chodźmy już stąd. Robi się bardzo późno.

Kiedy doszedł do drzwi, usłyszał za plecami głos Mari:

- Jest coś, Patricku, o co muszę cię spytać.

- Śmiało - mruknął zachęcająco i przysiadł na brzegu stołu. - O co chodzi?

Głęboko nabrała powietrza w płuca.

- Dlaczego trzy ostatnie noce spędziłeś w samochodzie przed moim domem?

Zamurowało go. Nie spodziewał się, że go dostrzegła. Zastanawiał się gorączkowo nad odpowiedzią. Jednak Mari miała własną teorię.

- Wyrzucono cię z mieszkania, prawda? Zgadłam? Możesz mi powiedzieć? Na pewno znajdziemy coś niezbyt drogiego. Mógłbyś nawet zamieszkać u mnie, jeśli zechcesz. Rozbawiła go. Ale i ujęła wielkodusznością.

- Nie. Nie zostałem wyrzucony z mieszkania. Wyprowadziłem się tylko na chwilę. Z powodu świeżej farby na ścianach.

- Ach, tak. - Uspokoila się.

- Powiedz mi. - Otoczył ją ramieniem i poprowadził do wyjścia. - Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może cię śledzę, bo mam wobec ciebie jakieś złe zamiary?

- Nie. Dlaczego? - Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Potem odwróciła się i zgasila światło.

- Dlatego, że ludzie często tak robią. Przynajmniej niektórzy. Musisz być ostrożniejsza.

- Ja doskonale znam się na ludziach - odparła Mari z przekonaniem. - Nigdy się nie mylę.

- Co ty powiesz?! - warknął.

Ciekawe, co byś powiedziała, gdybym zdradził ci, kim jestem? - pomyślał.

Kiedy wsiadła do auta, pochylił się i spytał:

- Jak odkryłaś, że nocowałem w samochodzie? Patrzyłaś przez lornetkę?

Mari wybuchnęła śmiechem.

- Pani Kurtz mi o tym powiedziała. Jest szefową naszego oddziału Straży Obywatelskiej i traktuje tę funkcję bardzo poważnie. Każdej nocy robi obchód osiedla.

I jak teraz wyglądasz, detektywie? - pomyślał Patrick z goryczą. Doświadczony agent, a dał się podejść jak dziecko jakiejś stetryczalej wdowie. To utwierdziło go tylko w przekonaniu, że Mari stanowczo zbyt wiele czasu spędza wśród staruszków.

- Przyjedź do mnie w piątek o szóstej, dobrze? - Schylił się, by pocałować ją w policzek.

Mari obróciła lekko głowę i jego wargi dotknęły jej rozchylonych ust. Nagle zrobiło mu się błogo i wspaniale. Tego właśnie pragnął.

- Dziś też będziesz nocował w samochodzie? - spytała cicho.

- Nie. Myślę, że farba już wyschła. - Poglaskał ją po policzku. - Ruszaj. Do

zobaczenia w piątek.

Patrzył za odjeżdżającym samochodem i zastanawiał się, w jaki sposób tak cudowna istota mogła wplątać się w paskudne tarapaty.

Kręcąc z niezadowoleniem głową, wszedł do auta. Jego prywatne śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów. Nie przyłapał Mari na żadnym występku. Nabawił się tylko bólu karku po nocach spędzonych w samochodzie.

Najwyższy czas rozpocząć drugą fazę operacji „Resocjalizacja Mari”, pomyślał. Tym razem musi się udać! Koniec kłopotów z policją i występów w podejrzanych lokalach.

Na wszelki wypadek podjechał jednak pod sklep Mari. Uspokoił się, gdy ujrzął jej samochód stojący na podjeździe.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Patrick przygotował się do kolacji bardzo starannie. Radził sobie, co prawda, w kuchni całkiem dobrze, ale żeby nic nie mogło odwrócić jego uwagi od trójki zaproszonych gości, zamówił pizzę. Lista gości wydłużyła się, kiedy Fred wyznał, że spotyka się z pewną dziewczyną. Patrick znał ją. Aresztował ją kiedyś za molestowanie przechodniów. Fred zapewnił go, że Angela już z tym skończyła, i Patrick uwierzył mu. Fred był najgorszym kłamcą na świecie.

Patrick obawiał się jednak, czy ta skądinąd pozytywna cecha charakteru Freda nie przysporzy w tym wypadku kłopotów. Zamierzał bowiem nadal utrzymywać Mari w przekonaniu, że spotyka się z fizjoterapeutą, a nie z policjantem, i obawiał się, czy Fred przypadkiem się nie wygada.

Wziął do ust tabletkę na nadkwasotę i pogryzł ją nerwowo. Nie łykał tych tabletek już od lat, tymczasem odkąd poznał Mari, zajadał się nimi jak cukierkami.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Przyszli Fred i Angela. Byli tak zdenerwowani, że ich także chciał poczęstować tabletkami.

To będzie meczący wieczór, pomyślał. Kiedy podał Angeli szklankę z piwem, omal nie wypuściła jej z drżących rąk. A gdy dzwonek zabrzmiał ponownie, Patrick pożałował swojego pomysłu.

Niepotrzebnie. Mari wyglądała tak uroczo, że Patrick znów z przerażeniem pomyślał o czekającym go wieczorze. Tym razem dlatego, że przeczuwał, jak trudno będzie mu skupić się na czymkolwiek innym poza nią. Postanowił, że zacznie ją uwodzić, gdy tylko Fred i Angela opuszczą jego dom.

Przedstawił sobie gości i znów pobiegł do drzwi. Tym razem dostawca przyniósł pizzę. Kiedy Patrick wrócił do kuchni, trójka jego gości siedziała na wysokich stołkach przy blacie. Angela wprowadzała właśnie Mari w tajniki chiromancji.

- A to jest Wzgórze Wenus - mówiła. - Tak duże i rozległe wskazuje, że jesteś wrażliwa i uczuciowa.

Raczej zmysłowa, pomyślał Patrick, lecz zachował to spostrzeżenie dla siebie.

- Nie cierpię tej mojej wrażliwości! - Mari westchnęła ciężko.

Patrick omal nie upuścił pizzy. Wrażliwa oszustka!

- Ależ to wcale nie jest wada - obruszyła się Angela. - Żałuję, że ja nie miałam w sobie więcej wrażliwości, kiedy byłam młodsza. Może nie wylądowałabym w więzieniu.

- Siedziałaś w więzieniu?! - Oczy Mari zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Fred też - odparła Angela. - Byłam panienką na telefon.

- To ktoś taki, kto dzwoni w porze obiadu, żeby ci coś sprzedać?

- Niezupełnie... Spotykałam się z mężczyznami. Za pieniądze. - Mina Mari wciąż wyrażała kompletne niezrozumienie. - I szłam z nimi do łóżka - dodała Angela. - Chociaż najczęściej nawet nie docieraliśmy do łóżka. Jeden gość załatwił to w samochodzie, na czerwonym świetle. - Zamilkła nagle i bardzo zainteresowała się swoimi paznokciami. Zrozumiała, że przesadziła nieco ze szczegółowością opisu.

- Och! - Policzki Mari pokryły się purpurą. - Musisz sporo wiedzieć o mężczyznach.

Patrick zaczął wiercić się niespokojnie. Dobrze wiedział, jak bardzo Mari liczyła na to, że Angela podzieli się z nią swoim doświadczeniem.

- Powinnam była ukończyć szkołę. - Angela westchnęła głucho. - Ale to było takie nudne.

- Na naukę nigdy nie jest za późno - pocieszyła ją Mari. - Niedawno udzielałam korepetycji kilku osobom, które szykowały się do eksternistycznej matury.

- Naprawdę? Wciąż nie mogę znaleźć pracy, bo wszędzie chcą kogoś z maturą. Myślałam już nawet o tym, żeby wrócić na ulicę, ale Fred mi nie pozwolił.

Teraz Fred zrobił się czerwony jak burak. A Patrick znów sięgnął ukradkiem po tabletkę.

- Nie mogę ci niczego obiecać - mówiła Mari z namysłem - ale znam małą re-



staurację, gdzie potrzebują kelnerki. A poza tym, chętnie pomogę ci przygotować się do matury.

Na wzmiankę o restauracji Patrick zeszywniał. Jeszcze tylko brakowało, żeby Mari zabrała Angelę do jakiegoś klubu z rozebranymi tancerkami. I bez tego miał dość kłopotów.

- Nie wiem, Mari, czy to najlepszy pomysł - wtrącił się.

- Przecież Angela szuka pracy. Mogę zaprowadzić ją tam na rozmowę jutro rano.

- Jadę z wami. - Patrick powiedział to z taką determinacją, że wszyscy spojrzeli na niego. - Żeby coś doradzić - bąknął.

Otworzył pudełko z pizzą i podał Mari kieliszek wina.

- Przykro mi, złotko - szepnął. - Właśnie skończył mi się napój wzmacniający.

Było jej to nawet na rękę. Wiele myślała o tym i doszła do wniosku, że jeśli rzeczywiście chciałyby się zmienić, powinna zawrzeć bliższą znajomość z alkoholem. Poza tym podejrzewała, że tego wieczora Patrick zacznie ją uwodzić. Odrobina wina powinna dodać jej odwagi.

Wino było lekko cierpkie i śmiesznie szczypało w język. Mari szybko opróżniła kieliszek i podała go Patrickowi do napełnienia. Spojrzał na nią zdziwiony, ale bez słowa nalał kolejną porcję.

Jedli pizzę, słuchali starych nagrań Chucka Berry'ego i rozmawiali. Po dwóch piwach Fred opowiedział, jak ukradł pierwszy samochód. I jaki był przerażony, gdy po przejechaniu dwóch stanów zorientował się, że było to auto burmistrza. Porzucił je czym prędzej i autostopem wrócił do domu.

Nie lepiej poszło mu z fałszowaniem dokumentów. Przetrzęsnał kiedyś skrupulatnie śmietniki w okolicy i znalazł kilka anulowanych czeków oraz jeden czysty blankiet. Długo ćwiczył podpis, aż doszedł do perfekcji w jego naśladowaniu. Wtedy udał się do banku. Niestety. Podpis, który opanował tak wspaniale, okazał się podpisem prezesa banku. Niedoszły fałszerz wylądował w więzieniu.

Patrick słuchał, uważnie przyglądał się całej trójce i uśmiechał się z przymusem. Zaglądał Mari w oczy i czuł, jak coś ściska go w żołądku. Fred i Angela potrafili uciec od kryminalnej przeszłości, a ona nie. Resocjalizacja i uwodzenie. Dwa wielkie projekty stały się oto jednym zadaniem.

Postanowił dołożyć wszystkich sił, żeby Mari już nigdy więcej nie pojechała do Masonfield tańczyć na wpół nago.

Fred opowiadał o kursie garncarstwa, na który zapisali się właśnie z Angelą. To podsunęło Patrickowi pewien pomysł. Znalezienie jakiegoś pożytecznego hobby mogłoby być dla Mari doskonałym wyjściem z sytuacji.

- Może ja zapisałbym się na ten kurs - powiedział. Wszyscy umilkli, zaskoczeni. - Co się stało? - spytał.

Fred chrząknął, zmieszany.

- Po prostu, nie wyglądasz... To znaczy, nie potrafię wyobrazić sobie ciebie

- A ja tak! - zawołała Mari. - On ma cudowne dłonie. Takie długie, zwinne palce...

- Prawdę mówiąc - Patrick przerwał te zachwyty nad jego anatomią - widziałbym tam nas oboje, Mari. Nie chciałabyś zapisać się na kurs garncarstwa? Zrobić kilka misek czy wazonów?

- Oj, tak - odparła rozmarzona. - Byłoby zupełnie jak w tym filmie, który wypożyczyłam sobie w zeszłym miesiącu. Tym z Patrickiem Swayze. On i Demi Moore siedzieli przy kole garncarskim i jego ręce...

- Zapiszemy się więc na kurs garncarstwa - wpadł jej w słowo Patrick. Doskonale wiedział, gdzie były ręce Patricka Swayze i co Mari miała na myśli. Co gorsza, on myślał o tym samym i nie mógł zrozumieć, dlaczego. Nigdy przedtem nie miewał takich trudności z zapanowaniem nad własną żądzą. W ogóle wszystko szło coraz gorzej. Poprzedniego wieczora znów odwiedziła go Stacey z konfiturą jabłkową. Głaskała go po ramieniu i robiła zachęcające miny. A on wciąż miał przed oczami pewną miłą oszustkę.

Fred i Angela wyszli o północy. Zamykając za nimi drzwi, Patrick uśmiechnął się. Od dłuższego czasu myślał tylko o tym, by zabrać Mari do łóżka i zerwać z niej ubranie. Pod koniec spotkania właściwie przestał się orientować, na jaki temat toczy się rozmowa przy stole.

Już od godziny Mari siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami i ziewała. Patrick jednak przygotował plan, który miał ją rozbudzić. Uzgodnił nawet z kolegą, że ten zastąpi go na dyżurze. Na wszelki wypadek, żeby nikt im nie przeszkadzał. Zatarł radośnie ręce i wrócił do salonu.

Mari spała na kanapie z głową wdzięcznie opartą na ramieniu.

Przyglądał się jej z łagodnym uśmiechem. Pomyślał, że kiedy skończy już walkę o jej odnowę moralną, postara się, żeby zostali przyjaciółmi. Nie potrafił wyobrazić sobie, że miałby nie zobaczyć jej już nigdy więcej.

- Chodź, przyjaciółko - szepnął i wziął ją na ręce. - Ułożymy cię wygodniej do snu.

Zaniósł ją do swojego łóżka i ostrożnie okrył kocem. Mari mruknęła coś cichutko i przeciągnęła się. A on znów poczuł budzące się pożądanie.

Położył na kanapie poduszkę oraz drugi koc. Umył się, jeszcze raz popatrzył na śpiącą Mari i poszedł do salonu. Przypomniawszy sobie, że Mari obiecała zabrać następnego dnia Angelę do restauracji. Na wszelki wypadek zapisał to na kartce. Miał dziwne wrażenie, że po takiej ilości wina Mari może zapomnieć o danej obietnicy.

Długo nie mógł zasnąć. Wiercił się, poprawiał poduszkę. Nic to nie pomogło. Podobnie jak i szklanka mleka. Popatrzył na zamknięte drzwi i podjął męską decyzję.

Mari spała tak mocno, że nawet nie drgnęła, gdy położył się obok niej. Przesunął śpiącą delikatnie, okrył skrajem swojego koca i objąwszy ją w pasie, usnął.

Rano Mari zbudziła się pierwsza. Język miała szorstki i wyschnięty, a w głowie dudniło jej jak w kuźni. Cała była sztywna i nie mogła się ruszyć. Spróbowała się obrócić. Bez skutku. Ponowiła próbę i poczuła, że obejmuje ją jakieś ciężkie

ramię. Rex przecież nie miał takiej grubej łapy. Z wysiłkiem uniosła głowę, by spojrzeć za siebie.

To nie był Rex. To był Patrick. Razem z nią w łóżku! Serce podeszło Mari do gardła. Przespała chwile, w których ten mężczyzna ją uwodził! Niczego nie pamiętała!

Patrick poruszył się i zabrał rękę. Mari skorzystała z okazji i usiadła.

- Przepraszam - odezwała się.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Spostrzegła, że ma na sobie tylko bokserki.

- Wcale nie chrapałaś, jeśli o to ci chodzi - powiedział.

- Ale przespałam wszystko. - Znow zerknęła na jego nogi. Ale były umięśnione!

- Co przespałaś? - Patrick przetarł zaspane oczy.

- Moment uwiedzenia - wydusiła szeptem.

- Rozumiem - skłamał. Westchnął głęboko i rozejrzał się po pokoju. - Uwiodłaś mnie, kiedy spałem?

- Nie. Myślałam, że to ty mnie uwodziłeś - umilkła, zmieszana.

- Myślę, że zapamiętałbym coś takiego - zapewnił ją.

- No to czemu spaliśmy razem?

- Ponieważ usnęłaś na mojej kanapie. A ja byłem na tyle rycerski, żeby odstąpić ci swoje łóżko. Nie dość jednak, bym sam miał spać na kanapie.

- Och! Czyli nic się nie stało! - Tym razem zerknęła na jego szeroką klatkę piersiową.

- Nie. Jeśli nie liczyć kuksańca w nos, który mi wymierzyłaś. Strasznie wiercisz się przez sen, wiesz? Musiałem w końcu objąć cię, żebyś się trochę uspokoiła.

- Zamilkł, widząc bezmiar zawodu w jej oczach. Z wolna odzyskał ostrość spojrzenia. I poczuł, że niektóre szczegóły jego anatomii zbudziły się znacznie szybciej niż cała reszta. - Ranny z ciebie ptaszek - dodał.

- A z ciebie nie? - spytała.

- Nie w całości... - Uśmiechnął się zmysłowo.

- I co teraz zrobimy? - Jej oczy załśniły z podniecenia.

- Najpierw wezmę prysznic i przygotuję kawę - odparł, wstając. - A potem czekaj i patrz, zgoda?

Uśmiechnęła się szeroko. Siadła po turecku na środku łóżka i patrzyła na Patricka z takim zaciekawieniem, że nieco się zawstydził. Pierwszy raz w życiu siedziała na jego łóżku dziewczyna tak naturalna i świeża, całkowicie pozbawiona sztuczności.

Otworzył drzwi i zaklął tak gwałtownie, że Mari aż podskoczyła.

- Co się stało? - spytała.

- To. - Podał jej kartkę.

- „Angela, dziewiąta rano” - przeczytała i spojrzała na niego pytająco. - Nie rozumiem - powiedziała.

- Obiecaliśmy Angeli, że o dziewiątej zawieziemy ją do restauracji. W sprawie pracy.

- Naprawdę?

- Tak. Przyrzekłaś jej to, zanim zaczęłaś pić wino. - Uśmiechnął się. - Zdamy jeszcze wziąć prysznic i ubrać się. Angela czeka. - Spojrzał na Mari znacząco. - Chciałem zaproponować, abyśmy razem wzięli prysznic. Żeby oszczędzić czas. Ale chyba dopiero wtedy bylibyśmy naprawdę spóźnieni. Idź do łazienki, a ja zaparzę kawę.

Spóźnili się minimalnie. Zabrali Angelę i prowadzeni wskazówkami Mari, pojechali do restauracji. Patrick przez cały czas spodziewał się, że dotrą do Masonfield. Zdziwił się zatem, gdy zatrzymali się kilka przecznic od sklepu Mari, przed niedużym barem kanapkowym. Dzwonek u drzwi obwieścił ich przybycie. Patrick szybkim spojrzeniem obrzucił wnętrze i uspokoił się. Na pewno nie odbywały się tam rozbierane tańce.

Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy z zaplecza wyszła pani Kurtz. Na ich wi-

dok uśmiechnęła się szeroko.

- Świetnie trafiliście - zawołała. - Mamy właśnie świeżutką roladę waniliową.

Leah Hartman, siostra pani Kurtz - ta, której wnukowi Patrick pomógł kiedyś - siedziała przy kasie. Krzątały się jeszcze przez kilka chwil, po czym usiadły z Mari, Patrickiem i Angelą.

Mari opowiedziała im o kłopotach Angeli. Nie rozwodziła się zbyt nad jej przeszłością. Wspomniała jedynie o „dawnych kłopotach”.

Siostry popatrzyły na siebie pytająco. Potem spytały Patricka, czy „kłopoty” Angeli były podobne do problemów wnuka Leah. Potwierdził ich przypuszczenia.

Siostry znowu wymieniły spojrzenia, a potem zabrały Angelę na zaplecze, żeby porozmawiać z nią na osobności. Mari natychmiast spytała Patricka, o jakich kłopotach i problemach rozmawiał z panią Kurtz i jej siostrą.

- To sprawa poufna - odparł.

- Czy to ma coś wspólnego z masażami? Zgadłam? Czy ty jesteś zamieszany w coś nielegalnego?

Była tak przerażona, że postanowił uchylić rąbka tajemnicy.

- Kilka lat temu wnuk pani Hartman, Jack, wpadł w złe towarzystwo i wplątał się w sprawę z narkotykami. Nic poważnego, ale przyłapano go na uprawie marihuany. Pociągnąłem wtedy w jego sprawie kilka sznurków. Pomyślałem bowiem, że to tylko dzieciak, który popełnił błąd.

- Skorzystałeś ze swoich znajomości w YMCA?

- Tak. Skorzystałem ze swoich znajomości - odparł nieco wymijająco.

- Przypomnij mi, żebym zadzwoniła do ciebie, kiedy i ja wpadnę w tarapaty. - Uśmiechnęła się.

A jemu żołądek skurczył się w twardą kulę. Przecież tego właśnie pragnął najbardziej.

- Przyznam ci się, Patricku, że martwię się trochę - wyznała ze smutkiem.

- O co chodzi? - zaniepokoił się.



- O twoich przyjaciół. O Freda i Angelę, o wnuka pani Hartman. Wygląda na to, że masz bardzo wielu znajomych, którzy miewają kłopoty z prawem. Czy i ty siedziałeś kiedyś w więzieniu?

- Czy ja siedziałem? - powtórzył, kompletnie zbity z pantafiku.

- To naprawdę nic wstydliwego - uspokajała go gorączkowo. - Ja doskonale znam się na ludziach i jestem szczerze przekonana, że to nie była twoja wina. Prawdopodobnie nie zdawałeś sobie sprawy, w co się wplątujesz. Może zrobiłeś to dla przyjaciela i trafiłeś do pudła, czy jak to się mówi.

Patrick gapił się na nią, oniemiały. Wzięła go za byłego kryminalistę! Omal nie wybuchnął gniewem, ale powstrzymał się. Dzięki Bogu, że Mari nadal nie domyślała się nawet, kim on jest naprawdę.

- Nigdy nie siedziałem w pudle, czy za kratkami, czy jak to tam zwać - odparł.

- Choć muszę przyznać, że wielu moich znajomych było w więzieniu. Teraz jednak są już zupełnie innymi ludźmi. Można na nich polegać. Nie musisz obawiać się niczego.

- Ależ ja się nie boję - zapewniła. - Nie mam nic przeciw ludziom, którzy popadli w konflikt z prawem. W końcu to może przytrafić się każdemu, prawda?

- Zwykle jednak nie przytrafia się to uczciwym ludziom - powiedział Patrick.

- Mogę zrozumieć, że ktoś popełni błąd, ale to w niczym nie umniejsza jego winy.

Smutna mina Mari wystraszyła go. Pewnie pomyślała, że jest już stracona bezpowrotnie.

- To nie znaczy, że nikt nie może liczyć na przebaczenie - dodał z powagą.

Mari pokiwała głową, lecz nadal miała pochmurną minę. Patrick zwykł tak surowo oceniać ludzi, więc kiedy pozna prawdę o Mariette, na pewno nie zechce już więcej spotykać się z nią, z Mari. A to wszystko była tylko jej wina! Powinna stanowczo rozmawiać z siostrą. Nie powinna była wpłacać za nią kaucji. Ale wiedziała, że nie potrafiłaby pozostać obojętna na jej prośby. Kochała ją przecież. Nie mogłaby rzucić Mariette na pożarcie rekinom. W tym wypadku policjantom. Nawet



gdyby w ten sposób mogła uporządkować swoje życie.

Całe jednak nieszczęście polegało na tym, że pokochała Patricka i nie wiedziała, co z tym zrobić. Nie była taka, za jaką ją uważał. Udawała przed nim kogoś innego. Możliwe, że kiedy odkryje jej prawdziwą, nieciekawą osobowość, całkiem straci dla niej zainteresowanie.

Zjawiła się Angela. Już z daleka machała ręką i uśmiechała się radośnie.

- Dostałam pracę! - Zza jej pleców uśmiechały się pogodnie dwie starsze panie.

Potem wszyscy razem uroczyście zjedli waniliową roladę i Patrick odwiózł Mari i Angelę do ich domów. Przy okazji zaprosił Mari na popołudnie, na mecz swojej drużyny. Przyjęła zaproszenie.

Kiedy został sam, sięgnął do kieszeni po tabletki przeciw nadkwasocie. Na wszelki wypadek.

Przez cały czas Patrick zerkał ukradkiem w stronę trybun. Mari znowu siedziała obok babci Davy'ego. Ale tym razem była tam także jego mama. Na szczęście, pomyślał. Może dziś nie będzie bezpańskich kociąt. Albo kolejnego seansu wróżbiarskiego.

Andrew, przyjaciel Davy'ego, nie miał najlepszego dnia. Kiedy w końcu spuścił trzy razy pod rząd, zaczął kląć w okropny sposób. Patrick musiał posadzić go na ławce, żeby chłopak ochłonął. Jednak Andrew nadal był zdenerwowany. Jego ojciec musiał wyjechać służbowo i obiecaną wizytę w wesołym miasteczku diabli wzięli.

Wszystkie te nieszczęścia tak przybiły chłopca, że rozplakał się nagle. Najpierw cichutko, potem szlochał coraz głośniej, powtarzając: „To nie w porządku. To nie w porządku”. Patrick spojrział z rozpaczą w stronę trybun. Tylko stamtąd mógł oczekiwać pomocy. W mgnieniu oka znalazły się przy nim Mari, mama Davy'ego oraz jego babcia. Dzięki temu Patrick znów mógł skupić się na rozgrywanym meczu. Tylko od czasu do czasu spoglądał przez ramię. Widział, jak Mari czule

obejmuje malca i szepce mu coś do ucha. Cokolwiek to było, sprawiło, że Andrew przestał płakać. Popatrzył na Patricka, uśmiechnął się do Mari i ochoczo pokiwał głową.

- Co mu powiedziałaś? - spytał Patrick, gdy mecz się skończył.

- Komu? - Mari popatrzyła nań zdziwiona.

- Andrew. Widziałem, że powiedziałaś mu coś, co radykalnie zmieniło jego nastrój. Co to było? - ponaglił, gdy zwlekała z odpowiedzią.

- Obiecałam, że zabierzesz go na pizzę, a potem...

- Co potem? - Jej wahanie bardzo mu się nie spodobało.

Mari westchnęła ciężko.

- Zrobisz mu masaż. Jak prawdziwy trener wielkiemu zawodnikowi. Nie zawiedziesz go, prawda, Patricku?

- Nie wydaje mi się, żeby wielkich zawodników masowali trenerzy - jęknął Patrick.

- No to chociaż troszkę go ponacieraj. Jemu naprawdę potrzeba odrobiny ciepła i życzliwości. Sam jednak nigdy o to nie poprosi. Zajmiesz się nim, prawda?

- Dobrze - odparł. - Ale chcę czegoś w zamian.

- Czego? - spytała z obawą.

- Powiem ci, kiedy przyjdzie pora.

- Żądasz, żebym zgodziła się nie wiadomo na co? - Oczy Mari zrobiły się wielkie jak spodki.

- Właśnie tak - odparł, zadowolony z rozwoju konwersacji.

- A jeśli będzie to coś niestosownego?

- Wszystko zdarzyć się może.

- Kiedy? - spytała.

Patrick omal nie parsknął śmiechem.

- Może by tak dziś wieczorem?

- Umowa stoi. - Mari leciutko się uśmiechnęła.

Grono przy stoliku w pizzerii było bardzo liczne. Obok Andrew, Davy'ego i jego babci zaproszono jeszcze, na żądanie Mari, Rose. Mari jednak z wielkim trudem usiłowała skoncentrować się na rozmowie. Myślami wciąż była przy obietnicy Patricka. Tej nocy miał ją uwieść!! Ze zdenerwowania prawie nic nie jadła. Spod spuszczonej rzesz przyglądała się mu uważnie.

Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Miał najbardziej czarujący uśmiech i najdelikatniejsze ręce. Pokochała go. Lecz nie miała złudzeń. Była to miłość bez przyszłości. Gdy tylko Patrick odkryje, jak bezbarwne jest jej prawdziwe życie, natychmiast straci całe zainteresowanie jej osobą. Nie miała żadnych złudzeń co do przyszłości, postanowiła więc czerpać z teraźniejszości, ile tylko zdoła.

Na razie wciąż była pełną temperamentu wróżką, której domowa apteczka wprost pękała od prezerwatyw. A Patrick Keegan zamierzał uwieść ją jeszcze tej nocy.

Jeśli tylko coś mu w tym nie przeszkodzi.

Patrick odwiózł Rose do domu. Potem delikatnie rozmasował ramiona i plecy Andrew. Na koniec dał mu szklankę mleka i kilka ciasteczek. Zamierzał właśnie pokazać chłopcu zgromadzone przez dziadka pamiątki baseballowe, gdy pager w jego kieszeni zapiszczał przenikliwie. Już wiedział, że wszystkie jego plany dotyczące Mari przestały być aktualne.

Dwaj chłopcy, biały i czarnoskóry, zostali zatrzymani na handlu narkotykami. Przywieziono ich na posterunek, na przesłuchanie. Patrick, który już od miesiąca usiłował wytropić lokalnego hurtownika, musiał z nimi porozmawiać.

Wziął Mari na bok i cicho, by nikt nie usłyszał, powiedział, że w YMCA zdarzyła się właśnie awaria klimatyzacji i w związku z tym musi natychmiast tam pojechać. Obiecał, że zadzwoni po któregoś z braci, by odwiózł Andrew do domu, i odprowadził Mari do samochodu.

Zawiedziona, szła za nim ciężkim krokiem.

- Zobaczymy się jutro? - spytała.

Patrick bardzo chciałby móc jej to obiecać, ale dobrze wiedział, jak potrafią ciągnąć się takie sprawy.

- Raczej nie. - Mari była tak niepocieszona, że wziął ją w ramiona. - Takie historie potrafią ślimaczyć się bez końca.

- W takim razie urządzę sobie jutro małą przejażdżkę - obwieściła. - Już dawno chciałam odwiedzić pewien antykwariat.

- Nie! - krzyknął wystraszony Patrick. - Nie rób tego.

- Dlaczego? - spytała zdumiona.

- Kiedy tylko będę mógł, przyjadę. I byłbym ogromnie zawiedziony, gdybym cię nie zastał - odparł. - Może wybierzemy się do chińskiej restauracji?

- Dobrze. - Uśmiechnęła się. Wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha: - Albo może w końcu zaczniesz mnie uwodzić?

- Zobaczymy. - Patrick pochylił się, by pocałować ją w policzek.

Mari odwróciła głowę i ich usta spotkały się w długim, gorącym pocałunku.

- Tylko pamiętaj, nigdzie nie wychodź - powtórzył.

W drodze na posterunek Patrick rozpaczliwie tarł czoło. Zupełnie nie wiedział, jak zdoła skoncentrować się na przesłuchiwanie handlarzy narkotyków, gdyż przed oczami wciąż miał tylko jeden, przerażający obraz: półnagiej Mari tańczącej na stole baru w Masonfield.

Zapowiadała się wyjątkowo długa noc.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W niedzielę Patrick był tak wyczerpany, że nie był w stanie odwiedzić Mari. Skończył pracę około północy i tylko przejechał obok sklepu muzycznego w drodze do domu. Wszystkie okna były ciemne, lecz z ulgą spostrzegł samochód Mari na podjeździe.

Następnego ranka z wściekłością walnął w budzik i pojechał do pracy. Kiedy tylko dotarł na posterunek, zadzwonił do kwiaciarni i polecił dostarczyć Mari bukiet czerwonych róż. Przez moment zastanawiał się, jaki napis powinien znaleźć się na załączonym do bukietu bileciku. „Od Patricka Swayze dla Demi Moore”, zdecydował w końcu.

W południe zatelefonował do sklepu muzycznego. Kamień spadł mu z serca, gdy usłyszał głos Mari.

- Róże są prześliczne! - wykrzyknęła z nie skrywaną radością. Patrickowi również zrobiło się ciepło na duszy. - Naprawiłeś już klimatyzację?

- Klimatyzację? - W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, co jej powiedział. - A tak, już wszystko w porządku. Może wieczorem, przed zajęciami z garncarstwa, zjedlibyśmy coś razem?

- Chciałabym bardzo - Mari westchnęła smutno - ale dziś daję lekcję gry na fortepianie Jimmy'emu Payne'owi.

- Ile lat ma Jimmy Payne? - spytał Patrick.

Mari wybuchnęła śmiechem.

- Dziesięć. Poza tym powinien raczej grać w baseball niż na fortepianie.

- Też tak uważam. To może wpadnę po ciebie w drodze na kurs?

- Doskonale. Do zobaczenia.

Patrick wyobrażał sobie, że na kurs przyjdzie nie więcej niż dziesięć osób i że prócz Freda i Angeli nie spotka tam nikogo znajomego. Zawiódł się srodze. Przy stoliku recepcyjnym kłębił się tłum ludzi. Dostrzegł między innymi panią Kurtz, jej

siostrę Leah, babcię Davy'ego i jego własną babcię, Rose.

- Co ty tu robisz? - spytał ją, trochę nawet ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Mari zniknęła mu z oczu.

- Bardzo spodobał mi się pomysł ukończenia tego kursu - odparła.

- Dlatego spędziłaś tu pół miasta?

- Sądziłam, że ty i Mari chcielibyście mieć trochę towarzystwa.

- Towarzystwa? - spytał zdumiony. Nagle pojął niezwykle zainteresowanie kursem babci i jej przyjaciółek. Postanowiły zostać przyzwoitkami jego i Mari. - Posłuchaj. Jeżeli uważasz, że zamierzam uwieść ją, a potem wtrącić do więzienia, to mylisz się bardzo. Chcę tylko pomóc jej wrócić na drogę uczciwości.

- Tak to się teraz nazywa? - spytała Rose słodziutko.

- Do diabła! Babciu, przecież to oszustka.

- Nie wierzę. Nie widziałam, by wyłudziła od kogokolwiek choćby grosik - odparła Rose.

- W porządku. Jest najbardziej nieporadną oszustką na świecie. Ale poza tym... - Znacząco zawiesił głos, wysoko uniósł brwi i dokończył szeptem: - Czasami tańczy na stołach ubrana tylko w różowe pióra.

- Lepsze różowe pióra niż nic. Chyba że zamierzasz przekonać mnie, iż je ukradła.

Patrick poczuł, że traci grunt pod nogami. Jego babcia oraz jej przyjaciółki postanowiły chronić Mari przed nim! Za wszelką cenę.

- Próbuję tylko jej pomóc - dodał łagodniej. - Nie chcę jej skrzywdzić.

- Lepiej, żeby to była prawda. - Rose wymierzyła w niego sękaty palec. - W przeciwnym wypadku będziesz musiał, Patricku, tłumaczyć się przed bardzo wieloma ludźmi.

Już widział siebie samego, otoczonego tłumem wściekłych staruszków. Na szczęście nadciągnęła właśnie nauczycielka garncarstwa z formularzem zgłoszenia w dłoni i z szerokim uśmiechem na puciołowatej twarzy.

Patrick wypełnił druczek, uścił opłatę i rozejrzał się po sali. Nauczycielka wskazała mu miejsce przy okrągłym stole i zaczęła wykład. Omówiła dokładnie cały proces wyrobu ceramiki. Począwszy od wydobywania gliny, przez jej formowanie, wypalanie i glazurowanie. Patrick, który w ogóle z trudem koncentrował uwagę na słowach prelegentki, miał nadzieję, że nie będzie musiał kopać gliny. Pani Kurtz i Leah usiadły po obu jego stronach, skutecznie oddzielając go od Mari. Tylko Fred rzucał mu od czasu do czasu współczujące spojrzenia. Lecz Patrick nawet ich nie dostrzegał. Usilnie starał się usłyszeć, co Mari mówi do Angeli.

Angela wybuchnęła śmiechem. Patrick wychylił się zza pleców Leah.

- Jest jedyny w swoim rodzaju - opowiadała Mari. - Ma śliczne zielone oczy i najcudowniejszy nosek.

Patrick odruchowo dotknął swojego nosa. Nigdy przedtem nie mówiono o nim, że jest cudowny.

- A kiedy wskakuje mi na kolana, niemal tracę zmysły.

„Wskakuje mi na kolana"! Kto?! Jakże prędko Mari przeszła do tak intymnych zwierzeń przed niemal obcą osobą. Wydawało mu się, że dawał jej dość zajęć, by ustrzec ją przed kłopotami. Tak z prawem, jak i z innymi mężczyznami. A tu proszę!

Już otworzył usta, by zażądać wyjaśnień, gdy Angela spytała:

- Gdzie powinnam ustawić kuwetę?

Kuwetę?!

Co się z nim dzieje? Mari podarowała właśnie Angeli jedno z kociąt, a on z bolesnym przestrawieniem myślał, że opowiadała o jakimś mężczyźnie. Wyprostował się i ponownie usiłował skoncentrować uwagę na słowach nauczycielki.

Zajęcia ciągnęły się bez końca. Formowali z gliny kółka, spirale i kule. Pod koniec Patrick gotów był zmusić nauczycielkę, by całą tę glinę zjadła. Był zmęczony i rozdrażniony. I bardzo chciał znaleźć się sam na sam z Mari.

Po zajęciach Rose zaprosiła Mari na filiżankę kawy. W tym momencie Patrick



zaprotestował energicznie.

- Teraz odwiozę Mari do domu - burknął i potoczył dookoła ponurym wzrokiem. - Ona ma tam mnóstwo kawy.

Na twarzach wszystkich otaczających go ludzi malowało się zdziwienie. Nikt jednak nie odezwał się ani słowem.

Jeszcze na schodach wiodących do mieszkania Mari Patrick kipiał ze złości. Natychmiast poszedł do łazienki i starannie zmył z rąk resztki gliny. Gdy wrócił do pokoju, zastał Mari schyloną nad samotnym kociakiem. Głaskała go i drapała za uszami, sypiąc pokarm do miski. Na pulpicie, obok wazonu z różami, siedział Rex i przyglądał się temu z niesmakiem.

- Gdzie są dwa pozostałe? - spytał Patrick.

- Już je oddałam. - Mari uśmiechnęła się. - Jednego zabrał Davy, drugiego - Jimmy Payne. A tego weźmie Angela. - Ciężko opadła na kanapę. - Po tym ugniataniu gliny bolą mnie ramiona.

Patrick stanął za nią i, wciąż naburmuszony, zaczął masować jej obolałe mięśnie.

- Nie mogę uwierzyć, że Gray Panthers też przyszła na ten kurs - stwierdził.

- Mnie się podobało - odparła Mari. - A pani Kurtz powiedziała, że zrobi wazonik na każdy stolik w barze.

- Pani Kurtz powinna zrobić sobie kask i zająć się skokami spadochronowymi - warknął. - Przynajmniej w powietrzu nie denerwowałyby nikogo.

- Och, wspaniale! - Mari podwinęła nogi i pochyliła się nisko. - Rozmasuj mi teraz plecy. Czuję okropny ból między łopatkami.

Patrick obszedł kanapę i usiadł przy niej. Masował ją mechanicznie. Myślami ciągle jeszcze był na cholernym kursie garncarstwa. Czemuż, do diabła, nie zapisał ich na coś bardziej pożytecznego?! Na lekcje gotowania czy ogrodnictwa. Tylko po co? Mari była doskonałą kucharką. A i ogródek za jej domem mógł zadowolić każdego konesera.

Chodziło mu ostatecznie tylko o to, aby znaleźć jej nie kończące się zajęcia. Żeby nie miała czasu wplątać się znowu w jakąś kabałę. W każdą środę jeździła do domu starców. W czwartki bardzo często wykonywała jakieś społeczne prace w bibliotece. Zwykle okładała książki. Piątki, soboty i niedziele Patrick mógł jej czymś zapełnić. Zaproponować wspólne wypadki do restauracji czy do kina, na przykład. Teraz doszły poniedziałkowe zajęcia z garncarstwa. Pozostały więc tylko wtorki, z którymi zupełnie nie wiedział, co począć. Może by tak znów zabrać ją na tańce? Wciąż miał w pamięci jej roziskrzone radością oczy.

- Świetnie masujesz. - Mari przeciągnęła się jak kotka. - Założę się, że masz mnóstwo klientów.

- Ani chwili wolnego - mruknął.

Już dawno postanowił wyjawić jej całą prawdę. Lecz jeszcze nie w tym momencie. Chciał, by lepiej poznała Freda i Angelę. Żeby przekonała się, iż można wspaniale żyć bez oszwabiania staruszek i tańczenia po stołach.

- Strasznie tu gorąco. - Mari uniosła się nieco i ściągnęła bluzę. Została tylko w różowej, bawełnianej koszulce.

Patrick niemal tego nie zauważył. Patrzył na nią pustym wzrokiem, bowiem głowę zajęta miał obmyślaniami kolejnych zajęć dla niej. Postanowił, że następnego dnia zacznie zachwalać ją wszystkim znajomym jako znakomitą nauczycielkę muzyki.

- Strasznie tu gorąco - powtórzyła Mari.

Opadła na plecy i wolno rozpięła dzinsy. Patrick wciąż masował jej ramiona, obliczając w myślach, ilu policjantów ma dzieci.

Nagle, ku jego zaskoczeniu, Mari usiadła gwałtownie. Spojrzał jej w twarz. Ujrzał łzy w wielkich oczach i drżące wargi. A także opuszczone do kolan spodnie.

- Co się stało, kochanie? - spytał niespokojnie.

- Naprawdę muszę być najmniej pociągającą ze wszystkich kobiet na całej ziemi - wyszeptała, z trudem powstrzymując się od płaczu. Skrzyżowała ramiona i

Patrick po raz pierwszy spostrzegł, jak kształtne ma piersi. - Nawet Warren G. Harding uważał, że jestem bezbarwna i nieciekawa. „Jak pieczony ziemniak bez masła i soli”, powiedział. - Jej wargi zaczęły drżeć jeszcze mocniej, a po policzkach popłynęły łzy.

- Najdroższa, Warren G. Harding jest zwykłym idiotą - odparł cicho Patrick.

- To czemu nie potrafiłam zrobić tego jak należy?

- Zrobić czego? - spytał zdumiony.

- Uwieść cię. - Ostatnie słowo zniekształcił głuchy dźwięk.

Mari ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się na dobre.

Patrick stał bez ruchu. Jak można być tak ślepym, bezdusznym idiotą? - pomyślał. Ona starała się skusić go i oczarować, a on tak głęboko dumał nad sposobami chronienia jej od złego, że w ogóle tego nie dostrzegł. Zranił ją tak boleśnie, że gdyby miał drugą parę rąk, sprząłby sam siebie po pysku. Ręce, które posiadał, nieustannie głąskały Mari.

Potem pomału zdjął jej buty i spodnie. Wystarczyło jedno spojrzenie na kusą różową bluzeczkę i skąpe białe majteczki, by zadrżał z pożądania. W tym momencie przepadły gdzieś szlachetne myśli o ratowaniu jej duszy.

- To jest naprawdę smutne, kiedy dziewczyna usiłuje sprowokować chłopaka, a ten nawet tego nie zauważa.

- Możliwe, że niczego nie zauważyłem, kochanie - powiedział miękko - ale to wcale nie oznacza, że wykonałaś złą robotę. - Na potwierdzenie swoich słów usiadł trochę inaczej.

Oczy Mari zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Wcale nie było widać, żebyś coś zauważył - bąknęła.

- Tak to już jest z mężczyznami - odparł. - Umysł może być zajęty czymś zupełnie innym, ale ciało natychmiast reaguje na podniety.

Mari uspokoiła się trochę.

- Co zamierzałaś zrobić później? - spytał Patrick.

- Zdjąć buty i dżinsy.

- A potem?

- No cóż. Miałam nadzieję, że ty zaangażujesz się trochę bardziej.

- Ależ już jestem zaangażowany. - Sięgnął do jej bluzeczki i powoli odsłonił mlecznobiałe piersi.

- Zdejmiesz coś?

- To właśnie robię, kochanie.

- Nie. Chodzi mi o to, czy zdejmiesz coś z siebie. - Widząc jego wahanie, dodała: - Warren wyglądał bez ubrania jak wielka ryba. Ty nie.

- Zostawmy w spokoju Warrena G. Hardinga. - Patrick ściągnął przez głowę koszulę. - Nie lubię rozmyślać o rybach, kiedy uwodzę damę.

Mari uśmiechnęła się radośnie. Z zachwytem wpatrywała się w muskularną klatkę piersiową Patricka.

- Co powinnam teraz zrobić?

- Ty, najdroższa, powinnaś robić, na co tylko masz ochotę. Pozwól prowadzić się instynktowi.

Schylił się i pogłaskał ją po karku. Z satysfakcją zauważył, że zaczęła szybciej oddychać. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego mocno.

Patrick czuł budzące się w nim żądze. Pragnął jednak, by ten wieczór należał tylko do Mari. Zsunął się niżej i ustami dotknął jej piersi. Po chwili całkiem zdjął z niej bluzkę i rzucił na podłogę. Brzoskwiniowej barwy sutki sterczały twarde i sztywne.

Dotknął ich delikatnie. Zataczał wokół nich palcami coraz mniejsze kręgi. Mari zaczęła pojękiwać z rozkoszy. Chwilami traciła poczucie rzeczywistości, lecz podobał się jej ten stan. Czowała głęboko w sobie coraz większy żar.

- Patricku - szepnęła i rozpięła mu pasek. - Co mam dalej robić? - zapytała. Ostrożnie zsuwała z niego spodnie.

- Właśnie to, co w tej chwili. - Uniósł się nieco, by ułatwić jej zadanie.

Za moment jego buty i dżinsy wylądowały na podłodze obok różowej bluzeczki. Po chwili siedzieli naprzeciw siebie. On, w bokserkach, ona - w skrawku jedwabiu. Patrick wyciągnął ręce, ułożył sobie Mari na kolanach i ponownie zaczął pieścić jej piersi.

Mari zadrżała z rozkoszy. Odsuwała od siebie myśli o przyszłości. Nie chciała zastanawiać się, co będzie, gdy Patrick odkryje, że ona nie jest żadną wróżką, że wiedzie życie szare i nudne. Tego wieczora wciąż jeszcze była Mari pełną temperamentu i skłoną do zabawy. Pieszczoty Patricka były takie cudowne!

- Och! - krzyknęła cichutko, gdy jego wszędobylskie palce wślizgnęły się pod krawędź majteczek.

- Chciałabym cię dotknąć - wyszeptała z trudem.

- Coś mi się zdaje, że pora już przenieść się do sypialni. - Patrick wstał i wziął ją na ręce.

Głaskała go po twarzy. Starła się zachować w pamięci każdą chwilę. Wspomnienia tej nocy będą jej największym skarbem, gdy znowu stanie się szarą i nijaką Mari Lamott. Pozostanie jej przynajmniej satysfakcja, że kochała się z mężczyzną.

Patrick posadził ją na łóżku i włączył nocną lampkę. Tylko nieznacznym uniesieniem brwi skwitował obecność w łóżku dwóch misiów.

- Przepraszam, chłopaki - powiedział, sadzając je na krześle. - Tej nocy ta pani jest tylko moja.

Z zachwytem wpatrywał się w leżącą Mari.

- Cudownie - westchnął. - Teraz potrzebuję już tylko jednego. Masz jeszcze trochę wina?

Mari skinęła głową.

- Dla mnie z lodem - poprosiła.

- Doskonały pomysł! - Uśmiechnął się szeroko.

Mari sądziła, że po prostu się napiją, lecz Patrick miał zupełnie inne plany. Wrócił z dwoma kieliszkami napelnionymi białym winem. W jednym pływała duża

kostka lodu.

- Wypij łyk - szepnął, podsuwając jej kieliszek do ust.

Przyjemne ciepło spłynęło Mari do żołądka. Wtedy Patrick, patrząc jej prosto w oczy, zanurzył palce w kieliszku, a potem dotknął nimi jej nagiej skóry. Mari sapnęła głośno, gdy poczuła chłodny płyn w rowku między piersiami. Tymczasem Patrick schylił się i bardzo powoli, dokładnie zlizywał smakowite kropelki.

Mari odchodziła od zmysłów. Nie wyobrażała sobie nawet, że te słodkie tortury mogą być takie podniecające. Zdawało się jej, że ulatuje aż do nieba.

- Poczekaj chwilę. - Patrick pocałował ją i wyszedł z sypialni. Wrócił szybko, gorączkowo obracając w dłoniach swój portfel.

- Stało się coś? - spytała.

Przysiadł obok niej na skraju łóżka i delikatnie pogłaskał ją po głowie.

- Nie mam zabezpieczenia - oznajmił bezradnym tonem.

- Zabezpieczenia?

- Prezerwatyw, kochanie.

- Och! To nic! Ja mam.

W niemym zdumieniu patrzył, jak Mari wybiegła do łazienki. Wróciła po chwili, niosąc na szklanej tacy wysoką piramidę wielobarwnych pudełeczek. Przez chwilę walczył z ogarniającą go wesołością. Przegrał i wybuchnął śmiechem.

- Mari - pociągnął ją na łóżko - to najdziwniejsza taca łakoci, jaką kiedykolwiek widziałem.

Przebierał chwilę wśród kolorowych opakowań. W mgnieniu oka był gotów. Mari przyglądała się mu w napięciu.

- I co teraz? - spytała z uśmiechem.

Patrick położył się przy niej. Zwilżył palce w winie i dotknął nimi jej ust. Oblizła je. Potem uniosła się i zaczęła dotykać go i całować. Wyjęła mu z dłoni na pół roztopiony lód, wzięła kostkę do ust i kontynuowała podróż po jego ciele. To wysuwając nieco lodową kostkę, by dotknęła jego skóry, to cofając ją.

Patrick czuł, że dłużej już tego nie znieś. Widząc jednak, ile radości daje Mari ta zabawa, zacisnął tylko mocno pięści i trwał bez ruchu.

- Dostyc - wycharczał w końcu, gdy dotarła do końca.

- Nigdy jeszcze nie widziałam mężczyzny kompletnie nagiego - szepnęła, nie przerywając pieszczot.

- Myślałem, że ty i Warren...

- Zgasił wszystkie światła, zanim jeszcze zdjął kamizelkę - wyjaśniła. Uśmiechnęła się zmysłowo i wolno schyliła głowę. - Kiedy teraz o tym myślę, uważam, że może nie tyle miał obsesję na punkcie moich kolan, ile nie potrafił rozpoznać w ciemnościach, co jest czym.

Patrick zaczął śmiać się głośno. Wkrótce jednak śmiech przeszedł w gardłowe jęki, gdy Mari zaczęła całować go i pieścić. Tego było mu już za wiele. Chwyił ją za ramiona i nasunął na siebie. Spoczęła na nim, ciasno obejmując go udami. A on głaskał ją, pieścił i dotykał, aż kolejne fale żaru zaczęły oblewać całe jej ciało.

Mari drżała i dygotała od rosnącego pożądania. Przyjemność i żądza wzięły ją we władanie. Zniewoliły bez reszty. Bez trudu odnalazła natychmiast właściwy rytm. Coraz szybszy i gwałtowniejszy.

- Tak, kochanie! - usłyszała. - Och, tak, Mari.

Stało się. Dotarła do kresu.

Usnęła, przepelniona szczęściem, jakiego nie zaznała nigdy przedtem. Kiedy obudziła się, leżała w objęciach Patricka. Obróciła się ostrożnie i długo przyglądała się mu w bladym świetle nocnej lampki. Patrick powoli otworzył oczy.

- Wiesz, Mari - powiedział sennym głosem - nie przypuszczałem, że taka wspaniała z ciebie uwodzicielka.

- To znaczy, że było dobrze? - spytała z niepokojem.

Nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- Czy mam napisać protokół oceny jakości?

Za to pytanie dostał klapsa w ramię.



- Posłuchaj, Mari... - Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by patrzyła mu w oczy.  
- Po pierwsze, musisz zrozumieć, że jesteś cudowna. Po drugie, każdy mężczyzna potrzebuje odrobiny pochwał. - Chciała coś powiedzieć, lecz położył jej palec na ustach. - I po trzecie, czy mówiłem ci już, że jesteś cudowna?

Uśmiechnęła się. Usiadła i głaskała go po piersi.

- Wcale nie byłeś taki zły - oświadczyła.

- Uważasz, że to wystarczy? - spytał z udawanym niedowierzaniem.

Pokiwała głową. W jej oczach lśniły iskierki przekory.

- Na więcej musisz zapracować - odparła.

Ściągnęła z Patricka prześcieradło i zaczęła całować go po brzuchu.

- No cóż! Skoro jesteś pewna, że nie ma innego wyjścia... - Przytulił ją do siebie i namiętnie pocałował.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez cały wtorkowy wieczór Patrick jeździł z Mari po mieście. Komuś usunięto właśnie woreczek żółciowy i Słoneczny Komitet - czyli w tym wypadku Mari - organizował dostarczanie do szpitala kwiatów i owoców.

W środę pojechali do domu starców. Podczas gdy Mari grała „Blue Moon”, pensjonariusze wdali się w gwałtowną kłótnię o to, kto zjadł na obiad najwięcej musu jabłkowego. Nawet to nie odebrało pianistce jej zapału. Podczas drogi do domu z wypiekami na twarzy mówiła tylko o tym, że jedna z kobiet wypowiedziała w czasie sprzeczki więcej niż pięć słów naraz.

- Ależ, Mari, przecież ona wygrażała, że rzuci swoją sztuczną szczęką w tego staruszka, którego nazywała „pupilkiem kucharki” - zauważył Patrick.

- Ona nigdy dotąd nie okazywała żadnych uczuć czy emocji, Patricku. A tym razem zaangażowała się w coś. - Mari włączyła światło w kuchni i zabrała się do otwierania puszek z karmą dla Rekxa.

Patrick przyglądał się jej, oparty o blat. To tylko kwestia czasu, żeby kolejna grupa staruszków w potrzebie pojawiła się u jej drzwi, myślał. Dziwił się, że Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów jeszcze nie koczowało na jej schodach, by namówić ją do udziału w jakiejś kolejnej akcji. Przy jej braku ostrożności za chwilę znowu ocknie się z pudełkiem pełnym kociąt pod pachą. Zbyt wiele troszczyła się o innych, by była w stanie zadbać o własne sprawy.

Patrick westchnął ciężko i zaczął przekładać przyczepione magnesami do lodówki pamiątkowe plakietki. Mari należały się wakacje. Postanowił to wykorzystać.

- Często bywałaś w Chicago? - spytał.

- W Chicago? Nigdy. - Zamilkła, popatrzywszy na plakietkę w kształcie drapacza chmur. - Ach, w Chicago. Tak, dość często. - Przygryzła wargę. - Czemu pytasz?

- Pomyślałem, że może chciałabyś pojechać tam w ten weekend?

- Do Chicago?

- Właśnie. Wyjechalibyśmy w piątek, nocnym pociągiem, a wrócili w niedzielę.

- Naprawdę zapraszasz mnie na wspólny wyjazd w najbliższy weekend?

- Tak.

Po raz pierwszy w życiu otrzymała podobną propozycję i nie wiedziała, jak na nią zareagować. Nie miała również pojęcia, co powinna ze sobą zabrać na taki wyjazd. Pozostawała jeszcze sprawa pieniędzy. Te, które odkładała na wakacje, poszły na wykupienie Mariette z aresztu. To, co zostało, na pewno nie mogło wystarczyć na podróż do Chicago.

- Ja nie mogę sobie na pozwolić na tę wycieczkę. Może wymyślilibyśmy coś innego?

Tu leży pies pogrzebany, pomyślał Patrick. Mari nie ma pieniędzy. To tłumaczyło wiele. Na przykład konieczność występów w skąnym stroju.

- Nie przejmuj się pieniędzmi - odparł. - To moja sprawa.

- Wykluczone. To nie byłoby w porządku. Może uda mi się zdobyć trochę forsy przed końcem tygodnia. - Nie lubiła pożyczać pieniędzy, ale przecież raz... w tak szczególnych okolicznościach...

- Nie! - zaprotestował gwałtownie Patrick. Stała mu przed oczami jej postać w różowych piórach, wirująca wśród mężczyzn obsypujących ją banknotami. - Ja zapłacę za tę wycieczkę.

- Ale, Patricku...

Gorączkowo szukał argumentów. W końcu znalazł.

- Pamiętasz, że kiedy prosiłaś, bym zrobił masaż temu chłopcu o imieniu Andrew, zgodziłem się pod warunkiem, iż będę mógł zażądać od ciebie czegoś w zamian?

- No tak.

- Teraz właśnie przysłała pora na moje żądanie. Chcę, żebyś pojechała ze mną do Chicago i pozwoliła mi zapłacić za podróż.

Mari opuściła bezradnie ramiona. Z takimi argumentami nie potrafiła dyskutować.

- Cóż, zgadzam się - odparła, nachmurzona.

Patrick podszedł do niej i pogłaskał ją po rękach.

- O co chodzi, kochanie? Nie masz ochoty spędzić tego weekendu ze mną?

- Ależ skąd, mam ochotę. Tylko nie chcę, żebyś płacił za mnie.

- Jesteś niezwykła. - Roześmiał się. - Jeszcze nie spotkałem kobiety, która miałaby podobne obiekcje.

- Doprawdy? - Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Jak najbardziej. - Musnął jej policzek szybkim pocałunkiem. - I wiesz co? Po Chicago odwiedzimy wszystkie miejsca, z których plakietki masz na lodówce. Będiesz moją przewodniczką. Jeszcze nigdy nie byłem na wschodnim wybrzeżu. - Stuknął palcem w plastikowego kraba z Baltimore. - Zamierzam zostać takim podróżnikiem jak ty.

- To brzmi fascynująco - bąknęła.

Jak miała powiedzieć mu, że nie tylko nigdy nie była w Baltimore, ale nawet nie przekroczyła granic stanu?

- A może przyspieszylibyśmy wyjazd? - zaproponował ochoczo. - Myślę, że mógłbym dostać kilka dni urlopu. Co ty na to? Może wyjechalibyśmy już jutro?

Mari zagryzła wargi.

- Umówiłam się z Angelą na jutrzejszy wieczór. Obiecałam pomóc jej w nauce. Mamy spotkać się u twojej babci.

- U babci? Dlaczego?

- Rose też myśli o przystąpieniu do eksternistycznego egzaminu maturalnego.

- Moja babcia?! Jak to możliwe, że nigdy o tym nie słyszałem.

- Pewnie nie słuchałeś - odparła cierpko.

Pisnęła głośno, gdy dostała klapsa.

- Czy ty w ogóle uświadamiasz sobie, że wywróciłaś na opak całe moje życie?  
- spytał, biorąc ją w ramiona. - Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy u babci, pomyślałem, że jesteś sprytną, bardzo pewną siebie naciągaczką.

- Naprawdę? - zdumiała się szczerze.

- Oczywiście. Pomimo tego, że jesteś taka ładna.

- Uważasz, że jestem ładna? - spytała radośnie.

- Więcej nawet, kochanie. W dodatku jesteś życzliwa całemu światu. Każdemu ofiarowujesz serce na dłoni.

Mari chciała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła. Wszystko, co Patrick powiedział, nie dotyczyło jej osoby. Mówił o tej Mari Lamott, którą próbowała być, właśnie dla niego.

- Są, rzecz jasna, sprawy, które powinnaś nieco zmienić - powiedział.

- Na przykład, co? - Z nadzieją czekała, że powie, iż chciałby, żeby była choć trochę mniej ekscytująca, skora do podróżowania czy popędliwa.

- Masz wrodzoną skłonność do zadawania się z ludźmi o siwych włosach i ze sztucznymi zębami. A ja, szczerze mówiąc, nie chcę dzielić się tobą z jakimś emerytem.

- Lubię starszych ludzi, Patricku - westchnęła.

- Wiem o tym. Może nawet to twoje zamiłowanie ma pewne zalety, gdyż pewnego dnia i ja będę staruszką. - Ku jego zaskoczeniu, Mari wybuchnęła śmiechem. - Nim to jednak nastąpi, wolałbym poćwiczyć jeszcze trochę sztukę uwodzenia. Nie jestem pewien, czy wszystko robimy dobrze.

- Ale tym razem to ja wezmę kostkę lodu.

- Liczę na to - odparł z uśmiechem.

Patrick siedział w kącie. Pustym wzrokiem gapił się w okno i słuchał głosu Mari. Od ponad godziny omawiała kolejnych amerykańskich prezydentów. Początkowo Rose siedziała obok Angeli. Później kolana zaczęły dokuczać jej tak bar-

dzo, że musiała wstać. Wyszła na ganek, by pospacerować trochę. Słuchanie Mari było dla Patricka prawdziwą przyjemnością. Dlatego wołał siedzieć bez ruchu, niż pójść za babcią. Kiedy Mari i Angela doszły do Warrena G. Hardinga, uśmiechnął się. Lecz Mari nawet na moment nie spojrzała w jego stronę.

- Mam już po dziurki w nosie tych prezydentów - jęknęła Angela. - Zróbmy przerwę.

- Dobrze - odparła Mari. - Napiję się lemoniady.

- W kuchni na stole stoją ciastka - zawołała Rose z ganku.

- Przyniosę - zaofiarował się Patrick i zerwał się z krzesła. - Tobie też, Angelo?

- Tak, poproszę. - Angela przeciągnęła się i rozmasowała obolały kark. - Co będziesz robić w ten weekend?

Mari wahała się przez moment.

- Zamierzamy, ja i Patrick, wyjechać z miasta.

- Naprawdę? Dokąd?

- Do Chicago.

- Chciałabym pojechać znowu do tego miasta, choćby na kilka dni - westchnęła Angela. - Mieszkałam tam kiedyś. Pracowałam w sklepie. Niezbyt długo. - Uśmiechnęła się smutno. - Wzięłam ze sklepu kilka rzeczy. Nie zapłaciłam za nie. No i po pracy.

Mari ze współczuciem pokiwała głową.

- Nigdy nie umiałam wytrwać przy czymś do końca - ciągnęła Angela. - Nudziliśmy się szybko. Ale teraz obiecałam sobie, że zdam ten egzamin za wszelką cenę.

- Trzymam cię za słowo - powiedziała Mari. - A ty jakie masz plany na weekend?

- Wybieram się z Fredem na festyn. W sobotę odbędzie się koncert muzyki country. A poza tym będą tam najlepsze ciastka i największy diabelski młyn.

- Bardzo duży? - Mari wsparła policzek na dłoni.

- Nie wiem. - Angela wzruszyła ramionami. - Ale z samej góry jest bardzo rozległy widok. Uwielbiam siedzieć tak z Fredem i patrzeć na świat z góry.

- Gra przy tym jakaś muzyka? - spytała Mari.

- Nie jeździłaś nigdy na diabelskim młynie? - zdziwiła się Angela.

- No, nie - przyznała Mari.

- Żartujesz! Dlaczego? Boisz się?

- Nie było okazji. Mieszkała z nami babcia, a ona raczej nie ruszała się z domu.

Patrick ustawił na stole szklanki z lemoniadą i poszedł do kuchni po ciastka. Kiedy wrócił, Mari i Angela znów rozmawiały o prezydentach, więc cicho wymknął się na ganek.

Nie mógł uwierzyć, że Mari, która tyle podróżowała, nigdy nie jeździła na diabelskim młynie. Będzie trzeba coś z tym zrobić, pomyślał.

- Jak tam kolana? - spytał babcie, siadając na schodach.

- Będzie padało - odparła Rose. - Ale jak na osiemdziesiąt lat, trzymają się całkiem nieźle. Pokaż mi samochód, który będzie jeździł tak długo.

- I będzie potrafił jeszcze przepowiadać pogodę - dodał z uśmiechem Patrick.

Rose powoli dokuśtykała do wiklinowego fotela i ostrożnie na nim usiadła.

- Pamiętasz wnuka Leah Hartman? - spytała. - Pomogłeś mu kiedyś.

- Jak mógłbym zapomnieć. Ten chłopak na każde Boże Narodzenie przysyła mi kosz pełen owoców, serów i ciast. A także fotografię całej rodziny. Ma już dwie uroczę córeczki.

- Jest wdzięczny za to, co dla niego zrobiłeś. Przypuszczam, że pamiętasz również jego kolegę. Tego, który spowodował wypadek samochodowy po pijanemu.

- Ma już na policji całkiem pokaźną kartotekę - powiedział Patrick sucho. - Raz odebrano mu prawo jazdy na pewien czas, lecz nie nauczyło go to niczego.



- Któregoś dnia spotkałam w sklepie jego ciotkę. Wygląda na to, że chłopak znów ma kłopoty. Uciekł z miejsca wypadku.

Patrick chrząknął. Znał tę sprawę. Czytał raport.

- Poziom alkoholu w jego krwi przekraczał dopuszczalną normę, ale Marilyn, jego ciotka, twierdzi, że wypił tylko dwa piwa.

- Oni wszyscy tak mówią - warknął Patrick.

Rose westchnęła ciężko.

- Rzecz w tym, że Marilyn pytała, czy mógłbyś mu jakoś pomóc?

- Jemu potrzebna jest kuracja odwykowa - odparł Patrick. - Dwa razy był już posyłany na leczenie, ale nie wykorzystał szansy. Nie znam sędziego, który mógłby tym razem nie skazać go na więzienie. A ja na pewno nie będę odwodził go od takiego zamiaru.

- Wiem. - Rose znów westchnęła. - Masz rację. Posunął się tym razem za daleko. Cała rodzina wybaczała mu i usprawiedliwiała go tak długo, aż uwierzył, że zawsze już będzie bezkarny. Ale, szczerze mówiąc, bardzo mu współczuję.

- A ja bardzo współczuję jego następnej ofierze. Miał dosyć okazji, by się zmienić. Przyszedł czas, żeby zaczął płacić za swoje uczynki.

Mari przypadkiem usłyszała całą rozmowę, gdyż stała w pobliżu drzwi prowadzących na ganek. Nie rozumiała, jakim cudem masażysta z YMCA może mieć takie wpływy na poczynania policji. A zimny i twardy ton jego głosu sprawił, że zagryzła wargi. Choć od dawna myślała o tym, by opowiedzieć mu wszystko o Mariette, w tej chwili jeszcze bardziej zwątpiła, czy potrafi to zrobić.

Z łazienki wyszła Angela. Przeciągnęła się i usiadła.

- Jesteś gotowa wrócić do prezydentów? - spytała.

- Oczywiście - odparła Mari, lecz w uszach wciąż dźwięczały jej słowa Patricka: „Przyszedł czas, żeby zaczął płacić za swoje uczynki”. Z bólem pomyślała, że jest jeszcze ktoś, kto będzie musiał zapłacić za popełnione czyny. Ona sama.

Kiedy lekcja dobiegła końca, wszyscy usiedli na ganku. Serce Mari ścisnęła

niewysłowny ból. Przez całe życie marzyła o tym, by stale otaczali ją przyjaciele i rodzina. Ludzie kochani i kochający. Tak jak w tej chwili.

Wiedziała, że Patrick ją lubi. Że dobrze mu z nią w łóżku. Być może mógłby nawet ją pokochać. Ale pokochałby tylko jej wykreowany wizerunek. Gdy dowie się o Mariette, gdy pozna całą, nieciekawą prawdę o Mari, zrozumie, jak wielką popełnił omyłkę.

Odrzuciła głowę do tyłu i zapatrzyła się w rozgwieżdżone niebo. Ciepłe powietrze wibrowało głosami świerszczy i żab. Siedzący obok Patrick wziął ją za rękę. Było tak cudownie, że chciało się jej krzyczeć.

Kiedy były jeszcze dziećmi, Mariette zawsze musiała dostać to, czego chciała. W przeciwnym wypadku wpadała w szał albo uciekała z domu. Mari natomiast nauczyła się skrywać swoje pragnienia. Uważała, że najpierw powinna zająć się matką alkoholiczką i babcią, staruszką zbyt leciwą, by mogła dać sobie radę i z uzależnioną córką, i z rozpuszczoną wnuczką. Do niepisanych obowiązków Mari należało rozwiązywanie problemów i utrzymywanie spokoju w domu.

Jednak miarka się przebrała. Zapragnęła, by choć raz i do niej uśmiechnął się los. Chciała, by miłość, którą ofiarowała matce, siostrze i babce, oddał jej mężczyzna. Patrick.

Poczuła uścisk dłoni i z trudem stłumiła łzy. Jakże żałowała, że rozpoczęła tę maskaradę, że udawała kogoś, kim nigdy nie była. Zapłaci za to wysoką cenę tęsknoty i żalu za utraconym szczęściem.

Zwykle Mari nie miewała problemów ze spakowaniem się przed podróżą. Jednak w ten piątek otwarta walizka długo leżała na łóżku. A ona wciąż nie umiała podjąć decyzji, co ze sobą zabrać. Chciała wyglądać atrakcyjnie, ale nie wyzywająco. Kolejny raz uczucie wzięło górę nad rozumem i odłożyła wyznanie Patrickowi całej prawdy o Mariette na później. Pragnęła przeżyć jeszcze choć ten jeden wspaniały weekend, nim jej marzenia legną w gruzach.

Do sypialni wszedł Rex. Wskoczył na toaletkę i wodził za Mari niespokojny-

mi ślepkami.

- Wyjeżdżam na weekend z chłopakiem - poinformowała kota. - Po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni - dodała.

Wrzuciła do walizki długą, czarną sukienkę i sięgnęła właśnie po bluzki, gdy zadzwonił telefon.

To była Mariette. Serce Mari zamarło. Usiadła na krawędzi łóżka i przeczesała palcami włosy.

- Musisz mi pomóc, Mari - usłyszała błagalny jęk. - To nie była moja wina. Naprawdę.

- Tak jak zawsze, prawda? - burknęła Mari. - Co stało się tym razem?

- Potrzebowaliśmy z Harmonem paliwa do harleya. Mówiłam ci, że chcieliśmy wyjechać na weekend? Nieważne. Pomyślałam, że nikomu nie stanie się żadna krzywda, jeżeli wlejemy sobie trochę i odjedziemy. Nie zamierzałam nikogo okraść. Chciałam zapłacić później. Kiedy znajdę jakąś pracę.

- Obawiam się, że to jednak była kradzież - powiedziała Mari zimnym tonem.

- Mari, pamiętam, że ostatnim razem ostrzegłaś, że mam sobie radzić sama. Ale oni chcą mnie teraz wsadzić do więzienia! Ci gliniarze z Masonfield nie żartują.

Mari usłyszała szlochanie siostry. Sama też poczuła cisnące się do oczu łzy. Dobrze wiedziała, co robi. I chociaż wciąż powtarzała Mariette, że musi poradzić sobie bez jej pomocy, nie umiała wytrwać w takim postanowieniu. Zbyt długo opiekowała się całą rodziną, by mogła tak łatwo stłumić w sobie poczucie odpowiedzialności. Nie potrafiła odwrócić się do siostry.

- Dobrze. Przyjadę najszybciej, jak będę mogła.

- Harmon będzie na ciebie czekał.

Odłożyła słuchawkę starsza o wiele lat. Wiedziała, że tak to się skończy. Mogła udawać inną osobę, oszukując nowych znajomych. Ale siebie oszukać nie mogła.

Drżącymi palcami wybrała numer telefonu Patricka.

- Coś się wydarzyło - wyszeptała. - Obawiam się, że nie mogę pojechać z tobą do Chicago.

- Co się stało? - spytał, wyraźnie zaniepokojony. - Coś złego?

- Nic, z czym nie dałabym sobie rady - odparła ostrożnie. - Bardzo mi przykro. Naprawdę.

- Mari, to nie ma sensu. Jeżeli nie chcesz jechać, po prostu powiedz. Wiem, że miałaś wątpliwości.

- Nie wynajduję wykrętów, Patricku. - Zniecierpliwienie szło o lepsze z rozpaczą. - Muszę pojechać gdzie indziej.

Psiakrew! Przecież miała naprawdę ważny powód! „Skoro już koniecznie musisz wiedzieć, moja siostra trafiła właśnie za kratki. A jeżeli otrząsnąłeś się już z szoku, dodam jeszcze, że to właśnie ona jest w naszej rodzinie tą atrakcyjną i ekscytującą osobą. A ja wciąż tylko sprzątam po niej, bo nie mam w życiu niczego lepszego do zrobienia”.

- Bardzo mi przykro, Patricku - powtórzyła. - Ale nie mogę powiedzieć ci nic więcej.

- Mari, dlaczego nie jesteś ze mną szczerą? - spytał, z trudem zachowując spokój.

Nie chciał nalegać, gdyż słyszał niezwykle napięcie w jej głosie. Dostyc miał już jednak wykrętów. Mari powinna już dawno zauważyć, jak bardzo mu na niej zależy. Powinna wiedzieć, że może mu zaufać. A ona tymczasem wciąż coś przed nim ukrywa.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała.

Ale nawet w jej uszach nie zabrzmiało to przekonująco.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że wiem o twoich wyjazdach do Masonfield? Nie jestem głupi.

- Wiesz?

- Naprawdę sądziłaś, że nigdy się o nich nie dowiem? Jak długo zamierzałaś to ukrywać? - Czuł rosnący gniew. Ogarniała go wściekłość na myśl, że po tym wszystkim, co zaszło między nimi, nie obdarzyła go zaufaniem.

- Nie myślałam...

- To prawda. Nie myślałaś.

Mari nie wiedziała, co powiedzieć. Gdyby sama wyznała mu prawdę, miałaby choć satysfakcję, że zdobyła się na akt odwagi. A tak...

- Chciałabyś porozmawiać o tym? - Patrick przerwał męczącą ciszę.

Pewnie, że chciała. I to jak. Ale nie mogła. Jeszcze nie.

- Nie mogę - szepnęła. - Nie teraz.

- W takim razie chyba w ogóle nie będziemy mieli o czym rozmawiać.

- Patricku! - krzyknęła przez łyzy. - Tak mi przykro.

Szybko odłożyła słuchawkę, zanim zdąży się rozmyślić.

Chwyła torebkę i wybiegła z domu.

Przez całą drogę do Masonfield płakała. Straciła Patricka. Choć tak naprawdę nigdy go nie miała. Należał do tej drugiej, innej Mari. Nie uwikłanej w pajęczynę kłamstw, nie mającej notorycznej przestępczyni za siostrę.

Harmon przechadzał się przed komisariatem. Kiedy weszli do środka, krótko ostrzyżony, rudy sierżant popatrzył na nich uważnie zza długiego blatu. Siedzący na krześle w kącie kompletnie pijany jegomość też przyjrzał się im z zaciekawieniem.

- No, dobrze - zaczęła Mari bez zbędnych wstępów. - O co chodzi tym razem?

- Ona potrzebuje adwokata - bąknął Harmon nieśmiało. - Ale nie mamy już pieniędzy.

- Przecież są obrońcy z urzędu. - Od czasu rozmowy z Patrickiem Mari czuła coraz mniej współczucia dla swojej siostry.

- Musisz nam pomóc - skomlał Harmon. - Moja rodzina odmówiła nam pożyczki, choć prosiłem i błagałem. A Mariette ma tylko ciebie. Sam nie wiem, co

zrobię, jeśli wsadzą ją do więzienia.

- Może trzeba było pomyśleć o tym, zanim pozwoliłeś jej łać paliwo do swojego motocykla - warknęła. Lecz zamiast wyjść, ciężko opadła na drewnianą ławkę. Pocierając czoło, usiłowała zebrać myśli.

- Nie stać mnie na adwokata - oświadczyła ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Ale Mariette powiedziała, że masz oszczędności! - zawołał Harmon.

Było tak w istocie. Te pieniądze stanowiły jednak jej zabezpieczenie na starość. Nie mogła ich ruszyć. Bez względu na to, w jakie tarapaty Mariette wpędziła się tym razem.

- Zamierzasz coś zrobić? - spytał Harmon, gdy jej milczenie się przedłużało.

Zrezygnowana, westchnęła ciężko.

- Owszem - odparła, wstając. - Zamierzam pogrzebać resztki mojego honoru.

- Popatrzyła ponuro na przyjaciela siostry i podeszła do kontuaru. - Czy jest tu jakiś telefon, z którego mogłabym odbyć rozmowę zamiejscową - zerknęła na plaketkę przypiętą do munduru funkcjonariusza - sierżancie Stanley?

- Proszę mi wybaczyć, że spytam - odezwał się sierżant. - Czy ma pani siostrę bliźniaczkę?

- Tak. Nazywa się Mariette Lamott - potwierdziła Mari.

- A nie pochodzi pani przypadkiem z Pigeon Nook?

- Owszem, ale nie rozumiem...

- I może zna pani jeszcze niejakiego Patricka Keegana?

- Owszem, znam. - Mari zagryzła wargę. - Jest tam fizjoterapeuta.

Sierżant zakasłał gwałtownie i prędko zasłonił usta dłonią.

- Bez wątpienia - powiedział. - Proszę, panno Lamott, może pani skorzystać z mojego telefonu. Z powodu jednej rozmowy nikomu nie stanie się krzywda.

Pijany mężczyzna podniósł się z krzesła i zatoczył się na ladę.

- Dzwonisz po taksówkę dla mnie? - wybełkotał.

- Siadaj, Anthony - polecił mu policjant. - Na ciebie jeszcze nie pora.

- Patrick? - zaczęła Mari z wahaniem. Dziwne zachowanie sierżanta wciąż nie dawało jej spokoju. - Nie odkładaj słuchawki, proszę. Potrzebuję twojej pomocy.

- O tej porze? - burknął po chwili ciszy.

- Musisz przyjechać do...

- Do komisariatu policji w Masonfield - wpadł jej w słowo.

- Tak. Skąd wiesz?

- Mniejsza z tym. Wyjeżdżam za chwilę.

Kiedy Mari odłożyła słuchawkę, policjant spojrział na zegar i spytał:

- Napije się pani kawy? Chciałbym być zupełnie przytomny, kiedy przyjedzie.

Mari zupełnie nie rozumiała, o czym ten człowiek mówi. Zbyt jednak była zmęczona i zmartwiona, by domagać się wyjaśnień. Postanowiła poczekać na Patricka. Z nadzieją, że wpływy, jakie miał w Pigeon Nook, przydadzą się na coś również w Masonfield.

Pijaczek chwiejnym krokiem potoczył się do automatu z kawą. Mari poczuła ukłucie zazdrości. Ten przynajmniej niczego jutro nie będzie pamiętał, pomyślała.

Dokładnie po czterdziestu minutach drzwi otwarły się i do komisariatu wpadł Patrick. Bez wątpienia przekroczył po drodze wszystkie ograniczenia prędkości. Podbiegł do Mari i otoczył ją ramieniem.

- O co jesteś oskarżona? - spytał.

- Ja? - bąknęła zdumiona.

- Proszę wybaczyć, że się wtrączę - odezwał się sierżant. Dziwne ogniki błyskały w jego oczach. - Jestem sierżant Del Stanley - przedstawił się. - Rozmawialiśmy już chyba przez telefon?

- Tak. - Patrick rozglądał się dokoła zdezorientowany.

Wyraźnie skrępowany Harmon cofnął się pod ścianę.

- A pan jest, jak sędzę, detektywem sierżantem Patrickiem Keeganem? - ciągnął policjant.

- Detektywem?! - Mari wbiła w Patricka zdumione spojrzenie. - Nie wiedzia-



łam, że w YMCA posługują się policyjnymi tytułami.

Patrick spuścił oczy.

- Ja wcale nie pracuję w YMCA - wyjaśnił cicho. - Jestem policjantem.

- Policjantem? - Mari aż cofnęła się o krok. - Okłamałeś mnie!

- Ja okłamałem ciebie? Przecież to nie ja udawałem, że prowadzę sklepik muzyczny, nie ja udawałem, że poświęcam się pracy społecznej na rzecz staruszków, by tymczasem zjawiać się tutaj i nago tańczyć po stolach! - krzyczał coraz głośniejsze.

- Co takiego?! - Twarz Mari pobrała, by po chwili pokryć się głęboką purpurą. - Myślisz, że ja...

Sierżant Stanley wysoko uniósł otwarte dłonie.

- Chwileczkę. Zaczekajcie. Sądzę, że potrafię wyjaśnić to wszystko. Sierżancie Keegan, chciałbym przedstawić panu pannę Mari Lamott, której siostra bliźniaczka, Mariette, jest chwilowo gościem naszego urzędu. - Wyprostował się i z zadowoleniem przyglądał się Patrickowi. Rzadko można obejrzeć tak wielkie zażenowanie na czyjejsz twarzy.

- Czy to znaczy, że to twoją siostrę aresztowano? - spytał niepewnie Patrick.

Mari skinęła głową i zagryzła wargę.

- Wykroczenia drogowe, niezapłacone mandaty, tańce, to wszystko?

Znów skinęła głową.

- Czemu, u diabła, nic mi nie powiedziałaś?! Czy masz pojęcie, co przeżyłem przez ostatni miesiąc?

- Poczekaj - jęknęła Mari - jeszcze nie wiesz wszystkiego.

- Dobrze. - Patrick wziął się w garść. - Mów dalej.

Nabrała głęboko powietrza.

- Całe to moje życie, jakie poznałeś, jest od początku do końca wymyślone. Nigdy nie wyjechałam poza granice Indiany. Wszystkie plakietki, które widziałeś na lodówce, dostałam w prezencie. Nigdy nie byłam wróżką. Zająłam miejsce Ma-

riette po tym, jak zamieściła ogłoszenie w gazecie. Poza tym nie cierpię alkoholu. Wszystkie rachunki zawsze opłacam w terminie. Segreguję ubrania przed praniem, a nawet wrzucam pieniądze do parkometrów. Nie jestem ekscytująca ani porywczą, a o seksie wiem mniej niż o czymkolwiek innym. Jestem nudna i nieciekawa. - Mari rozpląkała się w głos. - I wcale nie mam cytry.

- Kochanie! Nawet nie wiesz, z jaką radością tego słuchałem. - Patrick chwycił ją w ramiona i omal nie udusił w uścisku. - A już myślałem, że tymi swoimi wyrafinowanymi, kryminalnymi sztuczkami doprowadzisz mnie do pijaństwa. Ileż musiałem się napracować, żeby zawrócić cię ze złej drogi.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją mocno w usta. Po raz pierwszy, odkąd wszedł do komisariatu, uśmiechnął się promiennie.

- Ale co z Mariette? - spytała Mari, kiedy odzyskała oddech.

- Zostaw to sierżantowi Stanleyowi i mnie, kochanie - odparł Patrick. - We dwóch na pewno zdołamy przekonać jakoś sędziego, żeby darował jej tym razem. Opracujemy dla niej taki program resocjalizacyjny, że zanim się spostrzeżesz, twoja siostra zostanie najbardziej praworządną obywatelką tego kraju.

- Patricku - powiedziała Mari uroczystym tonem - wiem, że moje dotychczasowe życie było raczej nieciekawe. Ale zmienię to. Obiecuję. Potrafię być fascynująca. Przekonasz się.

- Ależ, najdroższa. Już teraz jesteś tak podniecająca, że ledwo mogę wytrzymać. - Pogłaskał ją i przytulił. - Kocham cię taką, jaka jesteś. I choćbyśmy nawet mieli po ślubie nigdy na krok nie ruszyć się z domu, i tak będę szczęśliwy.

- Po ślubie? Czyżbyś właśnie poprosił mnie o rękę? - Radość wypełniła jej serce.

- Nie mam wyjścia, kochanie - odparł. - Gdybym tego nie zrobił, babcia i jej siwowłose przyjaciółki rozerwałyby mnie na strzępy.

- Nie możemy do tego dopuścić. - Mari roześmiała się głośno.

Wspięła się na palce i pocałowała ukochanego.

Anthony, który dotąd kiwał się ze złością, wsparty o kontuar, odwrócił się niezdarnie. Zrobił krok, wysoko unosząc nogę. Zupełnie jakby miał zamiar przekroczyć przeszkodę.

- Uwielbiam śluby - oświadczył, bliski płaczu.

- Ja też - dodał sierżant Stanley. - I coś mi podpowiada, że ten będzie wyjątkowy.



RS